Nr. 19 (1063). Warszawa, dnia 28 Kwietnia (11 Maja) 1901 r. **Rok XXI.**

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8. z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Adres: Sadowa Nr. 14.

Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki i piątki od 11 do 12 rano.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu 6 miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

Rozkaz Najwyższy

o pozostawieniu w dalszym ciągu Towarzystwu kredytowemu ziemskiemu w guberniach Królestwa Polskiego dalszej ulgi w sprawie prowadzenia korespondencyi w języku polskim.

Po wysłuchaniu wyjaśnienia ministra skarbu z d. 20 listopada 1900 r. za nr. 13193 o pozostawieniu w dalszym ciągu Towarzystwu kredytowemu ziemskiemu w guberniach Królestwa Polskiego ulgi w sprawie prowadzenia korespondencyi w języku polskim, komitet ministrów wyraził mniemanie: pozwolić w formie rozporządzenia tymczasowego do dnia 1 stycznia 1902 r., zgodnie z regulaminem chwilowym, uchwalonym w r. 1893, na używanie języka polskiego w korospondencyi dyrekcyj gubernialnych Tow. kred. ziemskiego w guberniach Królestwa Polskiego z podwładnymi tym dyrekcyom taksatorami i osobami, które zarzadzają majątkami pozostającymi w rozporządzeniu Towarzystwa, jak również z jego dłużnikami.

Jego Cesarska Mość Najjaśniejszy Pan d. 27 grudnia 1900 r. raczył uchwałę komitetu ministrów Najwyżej zatwierdzić.

(*Prawit. Wiest.* nr. 86).

POLITYKA.

CZARNA MARA.

W zwykłych, spokojnych czasach, gdy dymisya żadnemu większemu ministrowi lub całej kupie ministrów nie grozi, o Lucanusie mało co słychać w Europie — nic mówi się o nim wcale. Dopiero w chwilach przełomowych występuje czarna mara, jegomość w czarnym fraku. Zjawia się u ministra, daje mu albo „Winck von Oben,“ albo „Drang nach Unten“ — i ministra dyabli biorą. Historyczną była rola p. Lucanusa przed podobnym wypadkiem, odegrana z kolosem takim, jak Bismarck, w d. 16—20 marca 1890 r. Nic nie pomogło: gdy raz już czarna mara stanęła przed kanclerzem, sam cesarz Wilhelm by go nie zbawił. Kolos runął, bo go już nawiedziło widmo we własnej swej postaci karawaniarza, z lodowatym wzrokiem śmierci. P. Lucanus chowa i grzebie małych i wielkich, potrzebnych i zbytecznych — i urządził już sobie wcale pokaźne *columbarium* z popiołów ministrów pruskich.

Tym razem ukazał się w samym końcu kwietnia, w cichą noc miesięczną, p. Miquelowi. Mąż ten, minister skarbu i wiceprezes ministrów pruskich, wpłynął głównie na rozszerzenie „Mittelland“ kanału, odrzuconego w szczuplejszej postaci przed dwoma laty. Komisya Izby pruskiej, wziąwszy ten projekt, tak z niego wszystko wytrzęsła, że zgromadzenie *in pleno* musiałoby go odrzucić. Chciano je tedy rozwiązać, albo też projekt przerobić. Na pierwsze nie mógł się cesarz Wilhelm odważyć; drugie byłoby jego własnem upokorzeniem, a ponieważ musiał się wydobyć z wąwozu — zrobił sobie wylot, wyrzucając Miquela. Razem z nim wylecieli Brefeld, minister handlu, i Hammerstein, minister rolnictwa. W całej tej operacyi rozstrzygającem było wystąpienie Bulowa, kanclerza i prezesa ministrów: wytłomaczył on cesarzowi, który w pierwszym swym stylowym popędzie chciał Izbę oporną rozwiązać, że rozwiązanie to nie będzie rozwiązaniem samej sprawy: lepiej posłać sejmujących na wypoczynek, skorzystać z czasu, obmyślić coś, coby było „Mittelland“ kanałem, a jednak nie było taką siecią handlowi a nie rolnictwu miłą, jaką jest projekt odpychany przez Izbę; tych wreszcie, którzy zanadto związali się z projektem, puścić na wodę. Cesarz usłuchał rady Bülowa: trzech ministrów puścił na wodę, sejmowi dał wypoczynek; d. 3 b. m. wieczorem p. Bülow odczytał mu orędzie cesarskie, zamykające sesyę.

P. Brefelda żałują wszystkie podobno dzienniki, a więc i stronnictwa pruskie. Nad Hammersteinem nie słychać nawet panegiryków pogrzebowych: musiało to być coś bardzo małego, wypieczonego z mąki urzędnikowstwa. Miquel dopiero pobudza ofiklejdy i klarynety dziennikarstwa. Był on w samej rzeczy względnie najzdolniejszym, bezwzględnie zdolnym. Nie mając antenatów, zaczynał od radykalizmu i miał piękną młodość z ideałami w sercu, ale i z pustkami w kieszeni. W latach 1848—51, choć bez stanowiska wybitnego, gromadził już naokoło siebie stronników, jako umysł wzbijający się nad poziom jednakowo myślących. Zostawszy adwokatem, do r. 1867, do wytworzenia się pierwszej formy cesarstwa, zabłysnął jako patryota w Nationalvereinie i jako polityk w obozie szczerze wolnomyślnym, ówczesnej Fortschrittspartei, ktora tak zaszczytnie w dziejach Prus, w dziejach Europy nawet, jeśli je ze stanowiska

umysłowości rozpatrywać będziemy, zajaśniała. Po r. 1867 w sejmie pruskim był jeszcze szczerze liberalnym narodowcem, stał obok Benigsena na podniesieniu — i nie idąc za owczym popędem swego stronnictwa, w kulturkampfie trzymał się na uboczu. Odtąd upadał coraz niżej, jako człowiek przekonań. Ideałów już nie miał: miał tylko wiedzę i umiejętność: był doskonałym gospodarzem, dobrym skarboznawcą, biegłym dyalektykiem— ale człowiekiem idei być już przestał. Wiodło mu się dobrze. Na burmistrzostwach w Osnabrück i we Frankfurcie n. M. dorobił się grosza, w sposób jednak uczciwy: nieuczciwość raziłaby jego umysł.

Miquel jest jednym z licznych dziś typów oportunizmu, który utracił swe istotne znaczenie praktyczności, a stał się wyrazem duchowego zaprzaństwa. Życie, zamiast korzystać z ideałów przetwarzanych na zasady stosunków społeczno-politycznych, w paszczę je swoją chłonie, zostawiając z ludzi, z istot czujących i myślących jakieś machiny urobione do funkcyi, użytecznych może, nawet niezbędnych, ale tylko machiny: znika drgające wnętrze, zostaje martwa powłoka z poglądów dorabianych do życia pod panującem prawem jak najłatwiejszego przystosowania się i jak największej wygody. Istotą tej przemiany jest zawsze przewaga zmysłowości nad umysłowością, sobkostwa, uczucia odśrodkowego, nad tem uczuciem zespalającem, dośrodkowem, które człowiek tylko ze zdroju serca społecznego, jeśli go w sobie nie wysuszył, mieć może. Wyzbywanie się ideałów, przeobrażanie zasad nie jest psychologicznym procesem umysłu pod jarzmem czy w świetle doświadczenia: jest jakby fizyologiczną przemianą organów wyższych na niższe. Własne czynne i twórcze życie umysłowe, krystalizujące myśli w ideały, ustaje: kończy się byt słoneczny, a zaczyna księżycowy. Człowiek sprzedaje się rzeczywistości. Idzie razem z innymi pracować w młynie, który kryształy miele na mąkę patentowanej, w monopol wyposażanej mądrości. W takiem młynarstwie spokojnie się żyje — i tyje. Utuczeni Miquele są dziećmi wieku. Mnóstwo ich mamy, tylko mniej zdolnych, i pośród siebie — i bodaj czy natura polska, o ile się w dziejach objawia, nie ma silniejszego od innych popędu — do metamorfoz niezostawiających człowiekowi nic, prócz koloru oczów i wzrostu ciała.

Tydzień polityczny. Szczeliny w gabinecie pruskim — jeżeli można go po europejsku nazwać gabinetem, załatano w taki sposób: na miejsce Miquela wchodzi Rheinbaben, po tym sprawy wewnętrzne obejmuje Hamerstein; handel dostaje się Moellerowi, rolnictwo Podbielskiemu, sławetnemu pocztmistrzowi Rzeszy, poczta — Kraetkemu. Inni zostają wraz z Bülowem, któremu przecież hr. Herbert Bismarck podstawia nogę, jak głoszą niektóre dzienniki.

Podróż Delcasse'go pono wydała owoce cierpkie dla Anglii. Brodrick miał w Hamden mowę, w której wręcz zażądał od opinii publicznej nacisku na konieczność ukończenia wojny z Boerami. Ta konieczność narzuciła ministrowi zdanie, że jeśli Anglia chce utrzymać swe stanowisko mocarstwowe, mieć spokój od strony Egiptu i Indyj, musi sobie zapewnić swobodę ruchów po za Afryką. Parlament uchwalił już podwyższenie podatku od dochodów, Izba dała cło od cukru, ale wywozowa opłata od węgla czeka jeszcze na uchwałę, a ma to być pozycya większa od dwu innych. Pożyczkę 60-milionową już zaciągnięto.

Ruch powstańczy koło Marguerite w Algeryi nie przeszedł po za swe gniazdo. Za to w Algerze samym rząd ma kłopoty z nacyonalistyczno-antysemickim Maxem Regis, półgłówkiem, któremu to wszakże nie przeszkadza być merem stolicy algierskiej. Trzeba unieważniać edykty baszy, municypalnego: tak są niedorzeczne a gnębiące.

W Wiedniu znowu się chmurzy: Czesi rozszerzyli projekt rządowy nowych dróg wodnych i nakład podnieśli do 200 mil. koron, sumy przekraczającej środki skarbu i kredytu skarbowego nawet w najdłuższe lata. — Koła już nie znać w dynamice politycznej chwili. Czesi porozumiewają się z Niemcami, a Koło uważają za zawalidrogę. Niemcy radykalni wznowili dawniejszy projekt, którym już prawie 30 lat temu chcieli zrobić dobrze — sobie: dają Galicyi wolność, wyłączając ją z Przedlitawii. Taką samą emancypacyę przeznaczają dla Dalmacyi. Oczywiście, dar jest bez politycznego znaczenia. Izba nawet rozprawiać nie będzie. Delegacye zwołane na 20 b. m.

W Transwalu ruch ciągle trwa, a to najważniejsze. Rozluźniającą się już karność wewnętrzną Boerów wystawiło znowu na szkodę nowe poddanie się jakiejś osady a złożenie przysięgi przez jeńców. U steru wszakże nie widać miękości; owszem, panuje prawo surowe, piętnujące wszelkie ukorzenie się i obłędtwienie, jak zdradę. Pod takim sterem jednostkom ciężko, ale powszechności — dobrze, a w życiu dziejowem powszechność z prawami swemi do życia jest wszystkiem.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Polacy w Nadrenii i Westfalii.

Z mównicy auli uniwersyteckiej w Bonn, w obecności delegatów burszowskich i zgiętych w pałąk sędziwych senatorów wszechnicy, wygłoszono mowę urzędową, której sens, że się tak wyrażę, moralny streszczono w aforyzmie Bismarcka: „My, Niemcy, nie boimy się nikogo, oprócz Boga." Pomijając, iż Boga, o ile się w istocie wierzy w niego, należy kochać zamiast bać się, przytem, jak chce Spinoza, nie żądając wzajemności, to powyższe *bon mot* musimy wszakże przyjąć ze szczyptą soli; znamy bowiem jeszcze kogoś, czyjem nazwiskiem straszą się dziś niemowlęta teutańskie w kołysce. Ten potężny ktoś — to Polacy. Zważmy bowiem, iż nietylko ujarzmili żywioł niemiecki w Poznańskiem, nietylko wszczęli wicher polityczny na Śląsku, ale zalewają dziś już najrdzenniejsze prowincye pruskie, jak Nadrenię i Westfalię. Ba! *Tageblatt* przed kilkoma tygodniami wykazał czarno na białem, iż największem polskiem miastem jest dziś — no, łatwo odgadnąć — Berlin, o czem żaden człowiek ze zdrowym rozsądkiem na przyszłość wątpić nie może. Słowem Polacy są nietylko wszechpotężni, ale i wszechobecni, co nadzwyczaj utrudnia walkę jagnięcia niemieckiego z nienasyconym lwem polskim.

Ktoby się też był np. spodziewał, iż Polacy podminują państwo pruskie aż tam na kresach zachodnich nad Renem! Sfery urzędowe dowiedziały się o tem dopiero

---

2)

Hall Caine.

Ostatnia spowiedź.

Dziesięć dni zabawiłem w Tangerze, oczekując listów z domu. Tymczasem przyglądałem się mieszkańcom i doszedłem do wniosku, że jest to naród najpobożniejszy na świecie co do praktyk religijnych i najniemoralniejszy. Allah, Mahomet, wersety z Koranu, oto co widać i słychać na każdym kroku, a jednocześnie panuje tu kłamstwo cyniczne, oszustwo, lichwa, sprzedajność sądów, okrucieństwo, nieludzkość. Krew, krew wszędzie, a w głębi tego wszystkiego utajone, nieopisane zepsucie.

Nie mogłem doczekać się listu i postanowiłem udać się do Fezu; przedtem jednak złożyłem wizytę mojemu konsulowi, by otrzymać papiery potrzebne do dalszej drogi. Opowiedziałem mu moje spostrzeżenia, których trafność uznał.

— Unikaj pan starannie — rzekł do mnie — wszystkiego, co mogłoby obrazić wiarę tych fanatyków. Nie dotykaj Islamu i strzeż się więzień tutejszych. Pamiętaj pan o tem.

Pamiętałem... Pamiętałem w najstraszniejszej chwili mego życia! Gdybym był zapomniał, nie stałaby się ta rzecz... ta rzecz okropna.

Wychodząc z konsulatu, nie spodziewałem się, że będę miał zaraz dowód, jak słusznie ostrzegał mnie konsul. Szedłem w towarzystwie mojego przewodnika. Było to w piątek, dzień święty u Muzułmanów; ulice roiły się ludźmi.

— Sidi (panie) — rzekł do mnie przewodnik, gdy mijaliśmy wysoki, biały mur, przecięty bramą, na którym powiewała biała chorągiew — sidi, to mieszkanie marabuta, świętego człowieka. Nad domem marabuta zawsze powiewa biała chorągiew. Patrz, oto święty człowiek wychodzi z bramy. On strzeże relikwij Sidi Gali. Wszyscy wierni płacą mu haracz. Do takiego domu nie wolno wejść chrześcianinowi. Tylko muzułmanin ma prawo szukać tam zbawienia. Tam zbawienie dla wiernych, lecz śmierć dla chrześcianina!

Spojrzałem przelotnie na świętego człowieka; miał twarz bardzo nieprzyjemną. Jednocześnie prawie zobaczyłem na końcu ulicy kilku ludzi, różniących się od innych ubraniem. Wszyscy mieli głowy ogolone, z wyjątkiem jednego kosmyka, pozostawionego na czubku. Uzbrojeni byli w niezwykle długie fuzye, a za pasem mieli noże zbójeckie. Byli to Berberowie, pierwotni władcy kraju. Między nimi a Maurami istnieje głucha i nieugaszona nienawiść. Przyszli do miasta dla przyjemności, czy dla interesów, lecz nie ukrywali wcale pogardy dla handlarskich mieszczuchów. Szli wesoło żwawym krokiem, przeskakując przez stosy jarzyn i owoców leżących na ziemi, a gdy mijali dom marabuta, koło którego przystanąłem, święty człowiek zaczął ich obrzucać obelgami. Nie zważali na niego. Jeden i drugi rzucił mu także obraźliwe słowo, lecz najmłodszy z Berberów przystanął i płomiennym wzrokiem ogarniając marabuta, łżył go namiętnie; święty człowiek odpowiadał, nagle nóż zabłysnął w ręku Berbera i starzec padł zabity. Policya zatrzymała mordercę.

— Chodź ze mną, sidi — odezwał się przewodnik.

Przez kręte uliczki doprowadził mię do Kasby.

Pod jedną z arkad pałacu dwu ludzi siedziało na matach. Byli to sędziowie.

Wkrótce nadeszli policyanci, wiodąc młodego Berbera, a za nimi cisnął się tłum ciekawy i wrogi. Stałem tak blizko sędziów, że nie straciłem ani jednego słowa z przebiegu całej sprawy.

niedawno z okazyi 200-letniego jubileuszu istnienia Prus w ich obecnej postaci państwowej. Pomimo, iż rząd pruski obchodził uroczystość tę ze zwykłą pompą, pomimo iż sam wypadek awansu Prus obwołał jako akt niesłychanej mądrości politycznej, Polacy westfalscy za radą „Związku Polaków w Niemczech," nie wzięli udziału w obchodzie, uzasadniając swoje postępowanie charakterem pruskim uroczystości, która jako taka Polaków zupełnie nie obchodzi. Rząd zawrzał gniewem. Niewiadomo jednak dla czego. Rakiety, oświetlenia elektryczne, rewie i capstrzyki urządzał rząd i nadworni dostawcy, podczas gdy lud zachował się względem sprawy z karygodną obojętnością. Co gorsza, kilku historyków niemieckich, między innymi słynny Quidde, poddając sumiennemu rozbiorowi promocyę państwową Prus przed 200 laty, doszli do wniosków wręcz odmiennych, niż historyozofowie urzędowi. Polakom zatem w najgorszym razie należy się w ich cenzurze zły stopień ze znajomości historyi.

Niestety, garstka diaspery polskiej, zagnanej brutalną ręką losu na zachód Prus, nie daje spać nietylko rządowi, ale jest solą w oku i pewnym odłamom społeczeństwa niemieckiego. „Związek wszechniemiecki," stojący na straży czystości plemienia niemieckiego i jego interesów wyłącznie niemieckich, ogłosił niedawno memoryał specyalny p. t. „Niebezpieczeństwo polskie w okręgu węglanym westfalsko-reńskim." Dziwnym trafem jednak Związek pogłaskał po głowie potężnego wroga jedności i siły niemieckiej. „Przy odpowiedniem traktowaniu kwestyi polskiej— opiewa wniosek ostateczny — niema obawy, aby polski język i rasa rozszerzyły się w okręgu przemysłowym westfalsko-reńskim, spolszczyły okręgi niemieckie i ludność. Przy niżej opisanych warunkach zachodzi prawdopodobieństwo, że zniemczenie Polaków dokona się tu prędzej, niż na wschodzie." Ten optymizm i ta pobłażliwość Związku, którego obowiązkiem jest podburzać zamiast lać oliwę na wzburzone fale, wywołały liczne protesty. Głosy Kasandr niemieckich, ostrzegających przed Polakami reńsko-westfalskimi, można podzielić na dwie grupy. Jedna bardziej humorystyczna, upatruje niebezpieczeństwo w przewadze plemiennej Polaków, druga, zawierająca odrobinę smutnej prawdy, kładzie nacisk na stronę ekonomiczną.

Przyjrzyjmy się obrońcom czystości etnograficznej. W całym szeregu artykułów i broszur autorowie zaznaczają fakt, iż okręgi przemysłowe westfalsko-reńskie zatracają charakter niemiecki. Dortmund — Manchester westwalski, jest już dziś miastem polsko-niemieckiem, podczas gdy dzielnica robotnicza Dortmundu ma fizyognomię wyłącznie polską. W innych okolicach Polacy tworzą oazy, stanowiące niekiedy 20% ludności. Są zawody reprezentowane wyłącznie przez Polaków. Jeśli dziś — wołają zacietrzewieni rzecznicy niemieckości — Polacy nie mogą pochłonąć swego otoczenia niemieckiego, to przecież zabarwiają je swemi właściwościami plemiennemi, zwłaszcza, iż strzegą jak źrenicy oka, własnego języka, obyczajów i narodowości. Poseł niemiecki, Westermann, niedawno w pruskiej izbie deputowanych przytoczył fakt oburzający każde serce teutońskie, iż 125 stowarzyszeń polskich wciąż ostrzega Polaków przed grążącem im zatonięciem w morzu niemieckości. W dodatku wskutek wzmocnienia się ruchu „wielkopolskiego" Niemcy nie mogą nawet, zdaniem Westermanna, odeprzeć ataków swych nieprzyjaciół. Polacy porozumiewają się po polsku, na zebraniach swoich przemawiają w języku ojczystym, którego żaden Niemiec w tamtejszych okolicach nie rozumie; niema nawet Schutzmannów, którzy mogliby śledzić przebieg rozpraw na tych zgromadzeniach. Z początku rozwiązywano z tego właśnie powodu wiece polskie, ale jakby na złość wszystkim dobrym patryotom, kosmopolityczny wyższy sąd administracyjny zakazał tej swawoli. Nie będziemy się tu zastanawiali nad jeremiadami hakatystów, gdyż można byłoby sobie życzyć z całego serca, aby „klęska" w istocie przybrała tak groźne rozmiary, jak opisują pangermańczycy. Zobaczymy przeciwnie następnym razem, iż niebezpieczeństwo plemiennego zanieczyszczenia grozi nie Niemcom, lecz Polakom.

Posłuchajmy teraz, co zarzucają Polakom zachodnio-niemieckim ci, którzy swą niechęć do nich opierają na powodach ekonomicznych. Jak wiadomo, Westfalia i Nadrenia są właściwem ogniskiem industryi pruskiej. Podczas gdy na Wschodzie przeważa rolnictwo, na Zachodzie znalazły schronienie fabrykacya i górnictwo. W ostatnich 10-u latach, jakeśmy już o tem pisali, przemysł niemiecki był w stanie rozkwitu i niesłychanego powodzenia. Zakres jego zbytu zwiększał się z roku na rok, a co za tem idzie, rósł oczywiście i popyt na siłę roboczą. Gdy zabrakło sił miejscowych, przybyła na odsiecz „armia rezerwowa" w postaci Polaków. Z Prus zachodnich, Wschodnich, Poznańskiego i Śląska napływali „obcy," przyjmowani z otwartemi ramionami. Odkryto bowiem w Słowianinie nadzwyczaj cenne zalety, przeoczone przez etnografów i historyków: Polak jest „billig und willig," jak orzekli rzeczoznawcy. Zadawala się skromną płacą, a w dodatku jest potulnym. Tu na obczyźnie, gdzie każdy nim pomiatał, gdzie lada chłystek rzucał mu w twarz pogardliwie „oller Pollake," gdzie jako przybysz nie miał prawa upierać się przy swych żądaniach, przyjmował oczywiście z wdzięcznością wszelki zarobek. Przytem nieprzyzwyczajony ani do zbytku, ani nawet do stopy życiowej godnej człowieka zachodnio-europejskiego, miał wymagania skromne. W ten sposób Polak stał się straszydłem. W umysłach niemieckich wciąż majaczyła obawa, iż oto przyjdzie ów „Schlowacke" (Słowianin, który wczoraj jeszcze ziemię orał, nie zna przeto ani kołnierzyka, ani mydełka pachnącego, ani cylindra, ani rękawiczek) i chwyci się wszystkiego, przystając na pierwsze lepsze warunki. I rzeczywiście, gdziekolwiek wakowały ciężkie i źle płatne zajęcia, obsadzano je Polakami. Powstała tedy odrazu przepaść nieporozumień i niechęci pomiędzy żywiołem miejscowym a Polakami. Dopóki jednak dla wszystkich było dość miejsca przy „uczcie życiowej," tolerowano „intruzów." Czyniono nawet kroki, aby im dać pojęcie o roli społecznej, jaką odgrywają. Namawiano ich, aby przyłączyli się do stowarzyszeń zawodowych, powstałych z potrzeby życia współczesnego. Polacy nie rozumieli, czego od nich chcą i, rzecz oczywista, odrzucali wszelkie propozycye, tem bardziej, że, zjednawszy sobie jednych, zraziliby do siebie innych. Czyż nie dlatego zapraszano i werbowano ich, że nie zadzierali nosa do góry, lecz przeciwnie, mówili „padam do nóg"? Niestety, siedem lat obfitych dobiega kresu, a pierwsze objawy przesilenia przemysłowego dają się już we znaki Niemcom.

Tu dopiero zrozumieli jedni i drudzy, iż Polak jest piątem kołem u wozu. Nadchodzą już nawet petycye do sejmu Rzeszy, aby przedsięwziął środki dla powstrzymania napływu Polaków do górniczych okręgów westwalsko-reńskich. Skargi te i po-

---

— Ten człowiek — oznajmił jeden z policyantów — zabił świętego z Sidi Gali.

— Kiedy? — spytał sędzia.

— Przed chwilą.

— Czem?

— Tym nożem.

Podano sędziemu broń zakrwawioną. Potrząsnął nią i zapytał krótko mordercę:

— Dlaczego?

Berber padł na kolana, jego głowa musnęła mi rękę.

— Zabiłem go, panie — wyrzekł — to prawda, lecz on nazwał mię psem i niewiernym i plunął na mnie.

Sędzia oddał nóż i skinął ręką:

— Odprowadźcie go.

To było wszystko.

— Chodź, Sidi — szepnął przewodnik.

Przez ciemne przejście doprowadził mię do izby, w której jakiś człowiek leżał na materacu Był to stróż więzienia. Zobaczyłem w głębi drzwi niskie, zasztabowane i zaryglowane, z okienkiem pośrodku. W chwilę po nas przybył nowy więzień. Stróż otworzył drzwi ciężkim, wielkim kluczem i dojrzałem oczy błędne w trupich twarzach, posłyszałem brzęk kajdan, woń okropna zatamowała mi oddech; Berber schylił głowę i wepchnięto go do tej nory ohydnej.

— Więc już sprawa skończona? — spytałem przewodnika.

— Zapewne.

— Jak długo będzie tam zamknięty?

— Do śmierci.

— Zdawało mi się przecież, że kadi ma prawo łaski?

— Tak, sidi, lecz nie może ułaskawić mordercy marabuta.

Przed kilkoma minutami jeszcze widziałem Berbera, gdy biegł wesoło, skąpany w promieniach słońca, w całej pełni sił młodzieńczych — teraz leży w ciemnicy cuchnącej i nigdy już światła dziennego nie zobaczy w istnieniu gorszem od śmierci. Za co? Za zabójstwo? Nie, stokroć nie! Życie w tych krajach mniej jeszcze, niż w średnich wiekach, ma ceny — lecz za to, że obraził jeden z zabobonów wiary Proroka.

Pomyślałem o Amerykaninie i zadrżałem.

Nazajutrz po mojem przybyciu do Fezu spotkałem go. W moich oczach kupił na rynku targowym niewolnicę - murzynkę. Poznałem go, pomimo że był w przebraniu Araba. Dopędził mię, a ja oddaliłem przewodnika; umówiliśmy się już przedtem, że nie zbliżę się pierwszy do niego, jeśli będzie w przebraniu.

— Nie śmiem prawie spojrzeć panu w oczy — rzekł na powitanie.

Pomyślałem, że ma słuszność, ale przez grzeczność spytałem ozięble:

— Czemu?

— Bo postąpiłem wbrew moim zasadom.

— Mianowicie?

— Darowałem życie łotrowi z narażeniem własnego. Z Tangeru wyjechałem z eskortą, złożoną z czterech ludzi, nie miałem jednak zamiaru wlec ich z sobą aż do Fezu, więc odprawiłem w ciągu drogi. Postąpiłem bardzo nieostrożnie, płacąc im za całą podróż. Na hojności nikt się tu nie pozna; moje zbiry zaczęły się ciebaczem naradzać nad powodem tej nagłej odprawy, w której interes pieniężny nie grał żadnej roli. Trzech zawróciło, lecz czwarty pozostał. Jest to niejaki Larby, łotr skończony, który co chwila starał się mnie oszukać i kłamał bezczelnie, wzywając bezwstydnie Allaha. Doprowadził mnie tutaj.

— Pokój z tobą, sidi — rzekł mi na pożegnanie.

— Żegnaj — odparłem — i niech nas Allah połączy w raju.

Lecz dyabeł chciał, byśmy się spotkali o wiele wcześniej. Co to było za spotkanie! Znasz pan meczet Hamadcza? Stoi w głębi ciasnej, krętej uliczki, miewa w nim kazania jakiś stary fanatyk, oprócz tego wykonywają tam osobliwy, do szału dochodzący taniec. Zachciało mi się posłuchać kazania arabskiego i na progu świątyni spotykam się z Larbym.

groźki prawdopodobnie nie odniosą wielkiego skutku, albowiem Polacy miejscowi są poddanymi pruskimi i dopóki prawo o wolności przesiedlania się pozostaje w swej mocy, tego rodzaju zakazy szowinistyczne nic nie wskórają. Zdarzają się jednak już wypadki bojkotowania „obcych“ przez pracodawców. Z drugiej strony, mniej zacietli współzawodnicy pracowników polskich domagają się, aby rząd bardziej dbał o podniesienie poziomu umysłowego i kulturalnego Polaków, a wskutek tego nie stawiał przeszkód rozwojowi prasy polskiej i budzeniu się świadomości narodowej. Tylko tą drogą bowiem, na gruncie rodzimym, Polacy mogą się wznieść na wyższe szczeble życia kulturalnego.

(D. n.). *H.*

ALKOHOLIZM I WALKA Z NIM.

II.

Spostrzeżenia i statystyka każą przypuszczać, że alkohol wprowadza zgubne zmiany w komórkach rozrodczych, często sama skłonność do pijaństwa jest zboczeniem odziedziczonem. Ciekawa i zręcznie przez dr. Bezzolę opracowana szwajcarska statystyka prawdopodobnych dat spłodzenia 9,000 idyotów i waryatów zdaje się upoważniać do wniosku, że nietylko chroniczny alkoholizm rodziców odbija się w ten sposób na dzieciach, ale i chwilowe zatrucie się alkoholem zresztą zdrowego ojca (jak to często bywa na weselach) powoduje spłodzenie nienormalnego psychicznie potomka; ilość bowiem takich wypadków nienormalnie wzrasta w tygodniu noworocznym i w okresach wielkich świąt. Pewien nauczyciel dolno-austryacki komunikował np. doktorowi Frohlichowi taki uderzający fakt: jeśli w jakimś roku zastęp dzieci nowoprzybywających do szkoły elementarnej bywa wyjątkowo niezdolny, to na pewno sześć lat przedtem był wyjątkowo dobry urodzaj na uprawiane w tej miejscowości wino.

Przy tym ostatnim punkcie szczególnie występuje szkodliwość używania alkoholu nietylko w dozach wielkich, upajających, ale w bardzo nawet małych, uważanych za normalne, albowiem absolutnie nie da się określić minimalna różnica, poniżej której trucizna ta przestawałaby wpływać szkodliwie na budowę tkanek wogóle i komórek rozrodczych w szczególności — mówi Forel. Przytem ci, co „dobrze znoszą“ alkohol, co mają „mocne głowy,“ nie powinni polegać na tem i być spokojni, że im alkohol nie szkodzi: bo to dowodzi tylko, zdaniem dr. Antona, że ich system nerwowy jest oporny na działanie alkoholu, który w takim razie rzuca się na inne organy; u tych zaś, co dochodzą do delirium, rzadko się znów spostrzega zepsucie organów, jak np. wątroby.

Takiego wroga ludzkości w alkoholu widzą rzeczoznawcy. Hygieniści pragnęliby go zupełnie wyprzeć z życia narodów, zamknąć wyłącznie w aptece i wypuszczać stamtąd — jak inne trucizny: opium, morfinę, eter itp., tylko za wyraźnem pozwoleniem lekarza. Tymczasem wróg ten zdobywa szturmem pozycyę po pozycyi; potok trucizny rozlewa się po wszystkich krajach i po wszystkich warstwach. Przytoczymy tylko parę dat, dotyczących Austryi: w krajach korony habsburskiej ludność wydaje na napoje gorące dwa razy tyle, ile wynosi budżet wojskowy; na głowę przypada 9 litrów 50° alkoholu. W Czechach jest 25,000 znanych policyi pijaków. W szkołach wiedeńskich przeprowadzona ankieta wykazała, że co trzecie dziecko stale pija piwo, co dziewiąte — wino, a co dwudzieste czwarte — wódkę. Oto dwa jeszcze obrazki — przemysłowy i wiejski, jaskrawą barwą dopełniające tonu ogólnego. W okręgu górniczym ostrawsko-morawskim na głowę ludności, wliczając kobiety i dzieci, przypada 28 litrów 50° wódki i 150 litrów piwa. W katolickich zakątkach Alp austryackich, podług własnego opowiadania deputowanego księdza Schöpfera, istnieje taki zwyczaj: parobek otrzymuje od swego pracodawcy przy tygodniowej wypłacie 6-litrową faskę czystego spirytusu, który pije z początku czysty, a potem, w miarę użycia, coraz bardziej do pełna faski rozprowadzany wodą...

Taki alkoholizm masowy jest zjawiskiem nowożytnem. Wbrew tym, którzy jego dzisiejszą masowością zwiedzeni, zaliczają użycie napojów wyskokowych do ogólnych potrzeb i skłonności natury człowieka, dr. Hirschfeld z Charlottenburga daje zarys historyczny jego rozwoju. Chociaż, zapatrzony w swój cel, pomija on pewne fakty, na które znów przesadny nacisk kładzie inny autor antyalkoholiczny, dr. Herman Blocher *), który chce dowieść, że alkoholizm nie zawdzięcza swego powstania wyłącznie kapitalizmowi, trzeba przyznać, że takie fakty, jak konkurs pijacki, urządzony przez Aleksandra Macedońskiego, po którym, jak pisze Plutarch, 41 szlachetnych współzawodników wraz ze zwycięzcą Promachusem, życie zakończyło, itp., świadczą tylko o pijaństwie klas bogatych i co najwyżej zawodowego, najemnego wojska w epokach schyłkowych, ale że kwestya alkoholizmu, jako szkodliwego zjawiska masowego, w starożytności klasycznej nie istniała; pito jedynie przy sposobności. Kobiety i młodzież w Grecyi były od picia zupełnie wykluczone; nie było oberż; religie, np. Mojżeszowa, zawiera mnóstwo zakazów natury hygienicznej.

Masowe zatruwanie się alkoholem zjawia się dopiero przy styczności Rzymu z barbarzyńcami i słusznie zaznacza Hirschfeld, że zaszło wtedy to, co się zdarza zwykle i w nowych czasach, kiedy lud pierwotny przejmuje od ludu ucywilizowanego jakiś silny środek uciechy życiowej. Tacyt opowiada o zwycięztwach Rzymian nad Germanami dzięki upijaniu się całego wojska tych ostatnich; Cezar mówi o bojaźni Swewów przed winem, które zupełnie wzbraniali wwozić do swego kraju. Najemne wojska barbarzyńskie rozpowszechniły pijaństwo po całym świecie rzymskim; i już trzeci założyciel religii, Mahomet, miał powód do zajęcia wyraźnego stanowiska w tej sprawie, uczeni arabscy jednak wynajdują dla celów czysto naukowych dystylacyę alkoholu z wina. Substancya ta, tajemnicza i nadzwyczaj kosztowna, właśnie dlatego zaczyna być uważana przez lekarzy XV w. za lekarstwo cudowne; ale masom jest ona zupełnie niedostępna. Dopiero w połowie XVI w. wynalazek pędzenia wódki ze zboża czyni ją tańszą; dzięki wierze w jej własności wzmacniające, górnicy np. ją otrzymują jako jeszcze rzecz cenną i wyjątkową; a rozpowszechniają i roznoszą jej użycie po świecie — znowu hordy żołdackie podczas wojny trzydziestoletniej. Jednakże narody światlejsze — jak świadczy np. historya Szwecyi — bronią się jeszcze od alkoholizmu wszelkiemi siłami; masową klęską staje się on dopiero w końcu XVIII i w XIX w. Wynalazek pędzenia wódki z kartofli, zastosowanie nowożytnych metod technicznych i ekonomicznych, zapewnia taniość tego nowego „środka odżywiania mas.“ Równolegle idzie

*) „Die Alkoholfrage in ihrer Verhaltnis zur Arbeiterfrage.“

— Beeba! — szepnął tragicznie.

Znał mnie pod tem imieniem.

— Cicho bądź! — szepnąłem. — Wczoraj byłem Beebą, dzisiaj jestem Sidi Mohammed.

Wszedłem, rozłożyłem mój dywanik, wyśpiewałem co należało, wysłuchałem kazania i wyszedłem z meczetu.

Larby, jak się tego spodziewałem, czatował na mnie w zaułku.

— Beeba! — rzekł ze strasznym uśmiechem — grę podwójną prowadzisz?

— Być może! A ty milcz lub strzeż się!

Nędznik sądził, że kupię jego milczenie; teraz morderczy blask zaświecił mu w oczach. Larby zdradzi mnie przy pierwszej sposobności. I wtedy postąpiłem wbrew moim zasadom.

— Jakże to?—spytałem, dysząc ze wzruszenia.

— Byliśmy sami; ale przypomniałem sobie historyę, którą opowiadał mi tyle razy, o córce, małej Hoolie, która codziennie oczekiwała jego powrotu, wielkiemi, czarnemi oczami wpatrując się w drogę.

— Więc miałbyś pan wtedy... — zacząłem.

— Zabić? — dokończył. Tak, powinienem był zabić tego łotra — mówił spokojnie.

— Niech Bóg broni! — zawołałem pełen wstrętu.

— Czemu? Byłby to po prostu czyn samoobrony, bo on chciał mnie zabić. Zabije mnie przy pierwszej sposobności. Czy dla pana samo życie jest tak drogiem? W takim razie dlaczegóż miałbym więcej dbać o jego życie, niż o swoje własne?

Dreszcz mną wstrząsnął, nie mogłem zdobyć się na odpowiedź.

— Jestem potworem w oczach pana — mówił dalej — lecz przypomnij pan sobie, że nie jesteśmy już w Anglii.

— A pan możesz być pewny, że Larby szkodzić będzie panu tylko wtedy, gdy obrazisz jego wiarę. Wyjedź pan stąd, bo on pana śledzi.

— Nie — odparł — ja go szpieguję. Dopóki nie uwolnię się od niego, dopóty moje życie nie warte jest grosza.

Odszedł. Mój rozum przyznawał mu słuszność, lecz serce wołało głośniej od rozumu: „Nie zrobiłbyś tego, nie poświęciłbyś jednego życia ludzkiego nawet dla uratowania tysiąca istnień.“ O mój ojcze, jakże mało się znamy. Jak mało! Gdy pomyślę, że on... on się cofnął... a ja...

Ojcze mój, nie odwracaj się ode mnie...

. . . .

Spotykałem go potem dość często i mogłem zauważyć, jak zmienia się człowiek, gdy groźba śmierci nieustannie krąży koło niego. W przeciągu kilku dni policzki mu zapadły, oczy nabrały ostrego wyrazu i cała postać zdradzała jakąś ponurą nerwowość.

Po dziesięciu dniach spotkał mię z twarzą rozjaśnioną słonecznym uśmiechem.

— No! — zawołał— Larby nareszcie powrócił do Tangeru!

Potem zapytał mię, czy znam największy meczet marokański.

— Jest w nim podobno sto pilastrów, ale nie daję wiary i muszę się o tem naocznie przekonać.

Tymczasem moje nerwy były zawsze w najgorszym stanie. Oddawna już nie miałem listu z domu, a w kilku odebranych czułem jakąś ukrywaną przede mną tajemnicę. Zbyt mało, zbyt niejasno pisała mi o synu żona, pisał Wenman. Codziennie zachodziłem na pocztę i gnębiący, nieokreślony niepokój nie odstępował mnie na chwilę, ciężył jak ołowiana chmura na bezsłonecznem niebie. Atmosfera, otaczającego mię społeczeństwa, działała na mnie jak najgorzej. Poranne nawoływanie muezzina było dla mnie męką codzienną. Te ciągłe modły przy haniebnem zepsuciu napełniały mnie obrzydzeniem. Świat zewnętrzny dawał mi jedynie wrażenia przykre, a wyobraźnia stawiała mi przed oczyma jedynie obraz mego syna.

(D. n.).

wzrost spożycia piwa i wina i dochodzi do tak niesłychanych stosunków, że naród niemiecki wydaje np. w 1892 r. 2¼ miliona na napoje wyskokowe, że — jak obliczają — do 10% ludności wiejskiej znajduje bezpośrednio lub pośrednio zatrudnienie przy produkcyi i sprzedaży alkoholu. Grozić zaczyna na seryo poprostu zwyrodnienie fizyczne i umysłowe całych narodów, nasuwa się natarczywie pytanie o środkach zaradczych, a więc przedewszystkiem — o przyczynach złego.

Przy szukaniu przyczyn alkoholizmu i, co za tem idzie, środków walki z nim, dają się odróżnić dwa skrajne kierunki; nazwiemy je apologetycznym i krytycznym, ze względu na ich stosunek do istniejącego ustroju społecznego. Jedni, jak np. prezes ministrów, Koerber, w swej mowie na otwarciu zjazdu, głoszą, że alkoholizm pochodzi głównie i ostatecznie „z wolnej woli“ każdego pijaka, w najlepszym razie — dodają — z jego ciemnoty, i uważają zatem walkę z alkoholizmem za kwestyę przedewszystkiem etyczną. Drudzy — jak np. znany holenderski działacz Demela Nieuwenhuis — twierdzą, że nędza rodzi alkoholizm, i że może i musi on zniknąć dopiero wraz z warunkami, rodzącymi pauperyzm. „Zabijcie żmiję, nie będzie i jadu.“

Oba te skrajne poglądy mają niewątpliwie dotychczas wielu zwolenników; na kongresie wiedeńskim jednak w tak jaskrawej, skrajnej formie nie były one wygłaszane i nie zetknęły się z sobą. Kongres ten dowiódł, że coraz bardziej toruje sobie drogę pogląd syntetyczny, z prawicy zapoczątkowany przez t. zw. socyal-polityków, z lewicy — już na kogresie VII (w Paryżu, w r. 1899) w sensacyjnym referacie Emila Vanderweldego *).

Minister oświaty, von Hartel, powiedział w swej mowie, że wzrost płacy roboczej przyczynia się do wzrostu alkoholizmu, ponieważ budzi często „niezdrowe pożądania.“ Zdanie to spowodowało wystąpienie b. posła, dr. Leona Verkaufa, obecnego posła Pernerstorfera i przyszłego posła, dr. Wiktora Adlera. Lekkomyślnością jest — mówili oni — przypisywać wzrost alkoholizmu wyższym płacom zarobkowym; przeciwnie, alkoholizm wynika z przeciążenia pracą, które zmusza do tłumienia uczucia znużenia; nie dość zaspokojony głód zmusza do oszukania żołądka, drożyzna mieszkań, ich przepełnienie i nędzne urządzenie pchają robotnika do szynku, jak do klubu. Brak uciech kulturalnych, to także przyczyna alkoholizmu. Do stłumienia jego droga prowadzi przez skrócenie dnia roboczego, podniesienie zarobków, przestrzeganie hygieny w warsztatach. Alkohol stał się jedyną uciechą życiową nędzarzy; dajcie im inne, normalne, zdrowe uciechy, a trucizna ta dopiero wtedy będzie mogła ustąpić.

Jednakże faktem jest niewątpliwym, przez statystykę wielokrotnie stwierdzonym, że rzeczywiście okresy powodzenia przemysłowego w Ameryce, Anglii itd. związane są ze wzrostem spożycia alkoholu, okresy kryzysu, czyli zarazem spadku płac robotniczych — z jego zmniejszaniem się. Faktem jest także, że nietylko nędza jest gruntem, na którym krzewi się alkoholizm, nietylko, mówiąc ogólniej, rozwój kapitalizmu oraz wstrząśnienia powodowane przezeń, rozkład, wprowadzany do dawnych, tradycyjnych sposobów życia. Istnieje niewątpliwie związek przyczynowy między zarabianiem dwóch guldenów na tydzień przez całą rodzinę robotniczą, pracującą w domu, a jedzeniem trzy razy na dzień jednej i tej samej potrawy: kartoflanki, podprawionej wódką (jak to stwierdzono urzędownie w niektórych czeskich okręgach przemysłowych). Dzicy dla oszukania głodu jedzą glinę, „cywilizowani“ piją alkohol — mówi Vanderwelde. Z drugiej jednak strony wszyscy bezstronni spostrzegacze zgadzają się na to, że alkoholizm klas wyższych, zamożnych i bogatych, choć przybiera inne, kosztowniejsze formy, bynajmniej nie jest mniejszy, a często bywa większy od alkoholizmu robotników i wogóle biedaków. Nie można również twierdzić, że to niepewność bytu i gorączkowość życia, związane z wielkim kapitalizmem, wyłącznie powoduje alkoholizm: bo iluż oddaje mu się filistrów, ilu urzędników, opłacanych dobrze, regularnie i pewnie, ilu studentów, o których byt troszczą się jeszcze rodzice i opiekunowie, studentów, których jeden referent *) nazwał „Trinklehrmeistrami“ narodu niemieckiego. „Porządnie opłacany urzędnik średniego miasta niemieckiego — mówi Blocher — mający pewne stanowisko, spokojną pracę, krótki czas roboczy i widoki na emeryturę, w ciągu paru lat topi się w winie i piwie, gdy amerykański przedsiębiorca, któremu codzień grozi przegrana w walce konkurencyjnej i zepchnięcie do szeregów proletaryatu, pomimo swych kłopotów i podniet, jest czynnym członkiem jakiejś sekty abstynentów.“ Vanderwelde w swym bezstronnym i sumiennym szkicu monograficznym, występując przeciw upraszczającym, schematycznym teoryom Nienwenhuisa, swego współwyznawcy, wykazuje także, że alkoholizm nie jest ściśle proporcyonalny do rozwoju przemysłu wielkiego wogóle; bo oto w Anglii procent ludności, zatrudnionej w przemyśle, wynosi 88¼, a spożycie 50-procentowego alkoholu 4,58 litra na głowę; w Belgii 70,6% ludności przemysłowej — 9,5 litra; w Stanach Zjedn. Amer. półn. 52,7 i 3,76; w Niemczech, Francyi i Szwajcaryi pierwsza charakterystyka jest mniej więcej jednakowa — także około 52%, a druga — w pierwszych dwóch krajach około 8¼ litra, w Szwajcaryi — tylko 5,19. Wewnątrz jednego i tego samego kraju, np. Francyi, okolice najbardziej pijackie (departamenty normandzkie) nie są najbardziej przemysłowemi i miasta np. jak Hawr (16,3 litra na głowę), Cherbourg, Rouen (tyleż), Caen (13,2) są znacznie mniej przemysłowemi od takich ognisk, jak Lille, St. Etienne, Roubaix, gdzie spożycie alkoholu waha się od 5 do 7 litrów na głowę.

Vanderwelde zaznacza także, jako fakt, że podniesienie zarobku, polepszenie bytu materyalnego często wywołuje u robotników zwiększenie spożycia alkoholu, ale zarazem objaśnia ten fakt przyczynowo, ogranicza jego doniosłość i określa ściśle znaczenie. Nie da się zaprzeczyć, że robotnik, który najgorzej mieszka i odżywia się, najciężej pracuje, najgorzej się wogóle ma, poznawszy alkohol, czuje do niego największą skłonność; ale brak pieniędzy musi mu pomimo to przeszkadzać w zaspakajaniu tej skłonności, bo szynkarz darmo przecież wódki nie daje. Dopóki zatem alkohol jest jedynym możliwym i znanym zbytkiem dla takiego robotnika, wszelki chwilowy lub stały wzrost zarobku musi wyrażać się we wzroście pijaństwa. To się też daje zauważyć dziś jeszcze u robotników wiejskich w Belgii, którzy piją tak, jak dzicy, stale niedojadający, jedzą zwykle mało albo prawie nic, a kiedy mogą się dorwać, w święta i przy podniesionym zarobku — to do zbydlęcenia. Tak było i z robotnikami przemysłowymi w pierwszym okresie rozwoju kapitalizmu, okresie najintensywniejszego eksploatowania siły roboczej, kiedy to alkoholizm (np. w Belgii między 1830 a 1840 r.) odrazu wzrósł tak szalenie, że aż produkcya wódki potroiła się, czego poźniej nigdy nie widziano. Kiedy zarobek się podnosi, a nie idzie z tem równolegle rozwoj umysłowy i moralny, to pijaństwo, a potem i stałe, normalne zatruwanie się alkoholem dosięga swego szczytu. I tu jednak daje się zauważyć oddziaływanie warunków pracy. Przedewszystkiem piją robotnicy w fachach ciężkich, wstrętnych i niezdrowych. Jedni piją w przekonaniu, że alkohol chroni ich od zatrucia fachowego (ołowiem itp.), lub od szkodliwego wpływu kurzów wszelakich przy fabrykacyi w źle przewietrzanych warsztatach; inni, aby się ochłodzić, tem bardziej, gdy w warsztatach niema wody do picia; inni, aby się rozgrzać, szczególnie kiedy, jak dokowcy np., muszą na mrozie czekać na robotę i nie mają prócz szynków żadnego schronienia. Wiele jest przyczyn specyalnych, wzmagających alkoholizm, jak np. wypłaty lub zawieranie umów najemnych w szynkach, kredyt, wypłata kartkami, porozumienie się szynkarzy z nierozsądnymi pracodawcami itp. Obszerną dyskusyę wywołał np. referat prof. Reinitzera z Gracu, który skarżył się na panujący w tamtejszych browarach zwyczaj dawania robotnikom 6 litrów piwa dziennie, zamiast części zapłaty. Od zwyczaju tego fabrykanci piwa odstąpić nie chcą, bez względu na to, że w gruncie rzeczy sprzeciwia on się prawu, zakazującemu wypłat w naturze, pomimo nawet strejków robotników, co spowodowało przedstawiciela tych ostatnich, obecnego na kongresie, do rzęsiście oklaskiwanej prośby, aby antyalkoholiści zabrali się do oświecania nie tyle robotników, ile fabrykantów, zadania o wiele trudniejszego. Jednak, jak stwierdził dr. Sternberg, lekarz wiedeńskiej robotniczej kasy chorych, w każdym zawodzie, nawet krawieckim, robotnicy powtarzają z głębokiem przekonaniem, że „w naszym fachu trzeba koniecznie pić.“ Faktem jest także, że na rozwój alkoholizmu w pierwszym okresie wzrastania zarobków potężnie wpłynęło to przekonanie, iż alkohol odżywia i podtrzymuje organizm. Wiarę tę odziedziczono po nauce średniowiecznej; wyznawali ją i uzasadniali w XIX tacy uczeni, jak Liebig i Moleschott (co zupełnie odpowiadało potrzebom gorzelnictwa prusko-agrarnego i przemysłu początkującego, opartego na taniej i podatnej sile roboczej); dziś przekonanie to porzucone przez naukę, trwa jeszcze, jako przeżytek *), w klasach nieoświeconych. Ale tu się kończy prawdziwość uwagi p. von Hardla i innych „apologetów.“ Dalszy wzrost płac zarobkowych i poprawa bytu, a szczególnie skrócenie dnia roboczego i ustalenie zarobków, sprowadza z kolei i oświatę, i świadomość, i poczucie swej godności osobistej i przeznaczenia zbiorowego. Ów przeżytek umysłowy, ów błąd i przesąd o wartości alkoholu ustępuje; interesowani zdobywają się na niezbędny wysiłek woli, aby zerwać z nabytem już a przyjemnem przyzwyczajeniem — i przeprowadzona przez Vanderwelda ankieta wykazuje, że w miastach, gdzie istnieje życie zbiorowe, alkoholizm się zmniejsza.

K. Radosławski.

NASI WYNALAZCY.

Wybitny wynalazca jest zawsze odmianą artysty, tworzącym w obrębie materyi, tak jak zwyczajny artysta tworzy w sferze piękna. Dla dokonania wynalazku trzeba bowiem tych samych przymiotów, co do napisania do-

*) Wyszedł po niemiecku p. t. „Alkoholismus und Arbeitsbedingungen in Belgien.“

*) Nauczyciel W. Frei: „Alkohol und Jugenderziehung.“

*) Ten spostrzeżony przez Vanderweldego przeżytek umysłowy można zestawić z inną ciekawą obserwacyą, zrobioną kilka lat temu przez — jeśli się nie mylę — p. F. Jabłczyńskiego przy badaniu ruchu książek w czytelniach publicznych. Czytelnicy z ludu poszukują obecnie tych utworów literackich, które panowały nad gustem klas oświeconych w pokoleniu poprzedniem.

brej książki lub wyrzeźbienia posągu; mianowicie oryginalności w pomysłach, samodzielności, indywidualnego poglądu, dowcipu, choć nie błyszczącego, ale za to głębszego, a wreszcie pracy i zasobu energii, któryby pozwolił przezwyciężać przeszkody. Wynalazek polega bowiem na skombinowaniu nowem pewnych elementów i ożywienia ich duchem specyalnej użyteczności: Weźmy naprzykład Edisona. Tylu ludzi przed nim wiedziało, że błona elastyczna drga pod działaniem fal dźwiękowych i może je notować w pewien sposób na cylindrach pokrytych sadzą, ale dopiero on wpadł na myśl, żeby odwrócić to zjawisko, to znaczy urządzić tak, aby ślady zapisane na cylindrze przywróciły ruch błonce. To jest właśnie nowy, genialny pomysł, duch wynalazku; reszta wymaga tylko energii, wytrwałości, wiedzy no i środków.

Albo telefon magnetyczny! Czyż może być coś genialniejszego a zarazem prostszego w zasadzie? Sztabka magnesu okręcona na końcu cienkim drutem i zbliżona do elastycznej blaszki; oto i telefon; ale do tego, żeby osiągnąć zdumiewający rezultat w prosty sposób trzeba mieć umysł zdolny chwytać podobieństwo między zjawiskami, czyli dowcip w najlepszem znaczeniu tego wyrazu.

To samo da się powiedzieć o wszelkich innych, wielkich wynalazkach i ich twórcach, mówimy wielkich, bo w olbrzymiej ilości wypadków mamy do czynienia z naśladownictwem świadomem, czy nieświadomem, z udoskonaleniem, rozwinięciem cudzej myśli. Rzadko zdarza się, żeby jeden człowiek zdołał uczynić wynalazek doskonałym; zwykle sam twórca nie osiąga z niego nic, prócz sławy pośmiertnej, jest górnikiem, który z dziewiczego pokładu wydobywa bryły marmuru, obrobione później przez jego naśladowców.

Wielcy wynalazcy mają równe prawo do uwielbienia i do tytułu geniuszów, jak wielcy myśliciele, wybitni uczeni, i artyści; twory ich tak samo potęgują orle wzloty ludzkości ku doskonałości, szczęściu i niezależności ducha, tak samo obsypują dobrodziejstwami, jak arcydzieła sztuki i owoce rozmyślań mędrców. Naród, który wydał Wattów, Stephensonów, Montgolfierów, Fultonów, Gutenbergów, może być równie dumnym, jak naród, Tizianów, Rafaelów, Murillów, Homerów i innych przedstawicieli sztuki czystej.

Przerzucając dzieje rozwoju kulturalnego ludzkości, jesteśmy zdziwieni nieprzyjemnie, że na ich kartach, w licznym szeregu wielkich wynalazców, nie spotykamy wcale nazwisk polskich. Fakt to nie zaprzeczony; jakże go wytłómaczyć? Czy charakter narodowy staje tutaj na przeszkodzie? czy przeciętny Polak nie posiada indywidualności, oryginalności, dowcipu, samodzielności? czy też ruch ogólny nie porwał nas jeszcze w kierunku tej specyalnej twórczości?

Żaden z tych punktów nie wyjaśnia kwestyi, Polacy mają indywidualność większą, aniżeli Niemcy, dowcip francuski, wydają wybitnych artystów, wybitnych uczonych i może tylko brak im tej żelaznej wytrwałości, jaka cechuje rasę anglosaską, najpłodniejszą w wynalazców. Ale wytrwałość jest potrzebna tylko do wykonania już zrodzonego pomysłu, a tymczasem u nas nie słychać nawet o genialnych pomysłach.

Skoro tak, to dlaczego naród nasz nie wydaje od czasu do czasu choćby wynalazcy wybitnego? Otóż kwestya ta, którą ten i ów radby przenieść na grunt antropologiczny, historyczny, lub psychologiczny, podług nas rozwiązuje się dość prosto. Polacy nie mniej od innych narodów są uposażeni od natury w kwalifikacye, tworzące wynalazcę, ale w dziś panujących warunkach zdolności utajone nie ujawniają się, tak jak nie wschodzą nasiona, na suchym gruncie. Od niepamiętnych czasów byliśmy narodem rolniczym i, naturalnie, lekceważyliśmy nietylko przemysł, ale to wszystko, co się z nim wiązało. Trudno więc wymagać, aby naród, pracujący na roli, robił wynalazki w dziedzinie techniki. Istniała po temu równocześnie inna ważna przeszkoda: oto szlachta była doniedawna warstwą społeczną, rządzącą, i skupiającą w sobie promienie oświaty, mieszczaństwo zajmowało się handlem, a rzemiosła nigdy nie rozwinęły się tak, jak na zachodzie. Nie było więc gruntu dla wynalazców. To też mieliśmy tylko uczonych, i polityków... Dopiero w ostatniej dobie, zmuszeni polityczną i ekonomiczną koniecznością, bierzemy się do przemysłu... Wraz z fabrykami zjawiają się też wynalazcy... Na wszystko musi przyjść właściwa pora, nawet na twórczość w dziedzinie technicznej.

Co do pomysłów, to nigdy nam ich nie brakowało: spytajmy się, co myślą o nas Niemcy pod tym względem. Oto profesorowie uniwersytetów niemieckich poszukują na asystentów Polaków i przyznają, że ci są obdarzeni większą lotnością umysłu, większą pomysłowością w badaniach od Niemców; a przecież ta lotność i pomysłowość, to właśnie dwa kardynalne przymioty wynalazcy. Nie dość na tem, wynalazki polskie już istnieją, lecz nasi rodacy dokonali ich za granicą i tam eksploatują. Dość przejrzeć listy patentów, ogłaszane w pismach specyalnych, ażeby się o tem przekonać naocznie.

Wypada więc rozważyć najprzód, dlaczego polscy wynalazcy szukają szczęścia i uznania u obcych.

Dla dwoch powodów głównych. Pierwszy z nich, to znana nieufność do rzeczy swojskich i lekceważenie swoich ludzi; tłómaczy się ona w części faktem, że my Polacy, przyjęliśmy cywilizacyę od zachodu i dotąd czerpiemy stamtąd wzory. Rzecz godna atoli zaznaczenia, że przysłowie „nikt nie jest prorokiem pomiędzy swoimi,“ stosuje się zupełnie tak samo do Niemców i Francuzów, jak do nas. Oto, co pisze pewien Niemiec w przedmowie do książeczki o kolejach elektrycznych:

„Z kolejami elektrycznemi dzieje się podobnie, jak z innymi donioslymi wynalazkami niemieckiemi; przez długi czas, w myśl znanego przysłowia o prorokach, nikt się niemi nie interesuje i dopiero zagranica ocenia je i zaczyna eksploatować; wtedy dopiero Niemcy zwracają na nie uwagę i zaprowadzają je u siebie, zdobne w nimbus rozgłosu zdobytego wśród obcych. Zjawisko to powtarza się tak często, że można je śmiało uważać jako wyłącznie niemieckie, z czego niepodobna, niestety, cieszyć się. Nasz kapitał okazuje niezmiernie małe zaufanie względem wynalazków niemieckich i odkryć, gdy tymczasem zagranicą zyskują sobie one uznanie“...

Sądzę, że te narzekania Niemca, przetłómaczone na język polski, doskonale stosują się do naszych stosunków. Nie mamy zaufania do swoich wynalazków, więc też o Polakach wynalazcach wie tylko zagranica. Fakt ten powinien jednak dać nam trochę do myślenia czas chyba wyrzec się bezkrytycznych uwielbień dla wszystkiego, co obce, co przychodzi z zachodu, i przestać pomiatać tem, co swoje.

Drugim z głównych powodów, to brak ułatwień natury technicznej.

Uczony i wynalazca, tak samo jak rzemieślnik, potrzebuje warsztatu, ażeby pracować. Berlin, Londyn, Paryż, Ameryka obfitują w zasobne laboratorya uniwersyteckie i inne, gdzie każdy może dokonywać odkryć naukowych, gromadzić fakty. Tam też nauka się rozwija. U nas laboratorya są ubogie i dostępne tylko dla studentów, dla tego nasi uczeni pracują u obcych.

Niemcy, Amerykanie i Francuzi mają też specyalne loboratorya dla wynalazców; otwiera je każda większa fabryka dla użytku każdego, kto chce w nich pracować, dostarcza materyałów, a w końcu nabywa wynalazek, dokonany jej środkami. W Berlinie są warsztaty, gdzie za opłatą stosunkowo niską, robią dla wynalazcy każdy model, byleby dostarczyć rysunków. W Ameryce posunięto się jeszcze dalej; sprytni ludzie pozakładali laboratorya, w których technicy wcielają w czyn pomysły do wynalazków. Jeżeli ktoś ma głowę napełnioną oryginalnemi pomysłami, a brak mu energii do ich wykonania, idzie do takiego biura, daje gruby zarys tego, na co wpadł przypadkiem, a jeśli trafił naprawdę na niewyeksploatowaną żyłę i jeśli jego pomysł jest możliwym i praktycznym to niech będzie pewny, że go przyobleką tam w ciało, i że w końcu dostanie wynagrodzenie za płód swego dowcipu.

Jakże inaczej dzieje się u nas. Daremnie szukalibyśmy bogatych, czy ubogich laboratoryów lub warsztatów; musi więc biedny wynalazca pracować przy biurku, to znaczy przetrawiać swój pomysł, nie rozwijając go; skoro ma gotowy rysunek, rozpoczyna wędrówkę po fabrykach i po warsztatach rzemieślniczych. W pierwszych przyjmują go jak maniaka, w drugich jak owcę, którą się starają ostrzyc porządnie, a jeśli się da, to nawet obedrzeć ze skóry. Jeżeli ma pieniądze, i zdecydował się płacić sumy bajońskie za wykonanie prostego modelu, to przekonywa się niebawem z rozpaczą, że nasz rzemieślnik nie ma najmniejszego uzdolnienia na to, aby być wykonawcą cudzych pomysłów; potrafi on tylko robić „na stare kopyto,“ na coś nowego wzrusza ramionami. A przytem jest bajecznie niesłowny, i niedbały. Wkrótce wynalazca dochodzi do wniosku, że nic nie poradzi i jedzie do Berlina, gdzie nietylko ma ułatwienia, ale jeszcze jest wynalazcą zagranicznym, a więc godnym zaufania.

Czyż wobec tego można się dziwić, że ta twórczość leży u nas odłogiem?

Jest źle ale co zrobić, żeby się działo lepiej? Naprzód przestać gardzić techniką i przemysłem, a bić pokłony przed pierwszym lepszym artystą i widzieć w sztuce najwyższą dziedzinę twórczości, jedyne źródło zadowoleń i drogę ku doskonałości. Potem wyrzec się nieuzasadnionego lekceważenia tego, co swoje. Niegdyś nie wierzyliśmy, że możemy mieć własną literaturę i malarstwo, dziś nie wierzymy w swoich wynalazców, a więc i to uprzedzenie z czasem minie. Wraz z zaufaniem zjawi się i pomoc materyalna; ufundujemy najprzód skromne pracownie, potem większe, zaryzykujemy kapitał i... przekonamy się, że tak źle nie jest, jak się zdawało.

Jesteśmy już nawet na dobrej drodze, bo uwierzyliśmy w Szczepanika, wprawdzie dzięki reklamie Kleinberga. Powiem nawet, że pod hypnotyzującym wpływem telegramów przysyłanych przez tegoż Kleinberga do *Kurjerka*, wpadliśmy w zachwyt. Ale pamiętajmy, że nie dobrze jest przerzucać się z jednej ostateczności do drugiej. Szczepanik zrobił wynalazek w tkactwie, ma dowcipny pomysł do dalekowidza elektrycznego, ale daleko mu jeszcze do Edisonów... Są ludzie radzi korzystać z tego usposobienia i wyciągnąć pół miljona z kieszeni zapaleńców za patent na wyrób rastrów Szczepanika. Co do nas, uważamy, iż należy być wielce ostrożnym w ocenie pieniężnej wartości każdego wynalazku, bo gdyby się zdarzyło, że patent drogo opłacony nie zapewniłby odpowiednich korzyści jego nabywcom, to kiełkujące zaufanie ogółu do swojskich wynalazców poderwanoby z korzeniem. A to nie jest pożądanem w interesie innych polskich wynalazców, którzy mogą jutro zwrócić się z prośbą o poparcie do społeczeństwa.

W. U.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Heraklilusze.

Społeczeństwo układa się na podobieństwo systematu ciał niebieskich. Jak one obracają się na własnych osiach, krążą łącznie około słońca, a jednocześnie są ogniskami osobnych wirów, tak samo uorganizowana gromada ludzka, odbywając ruch naokoło czegoś, co stanowi słońce jej życia, obejmuje mnóstwo mniejszych światów, posiadających własne środki obrotu. Takim drobnym światem jest każde stronnictwo, ród, sekta, szkoła naukowa lub artystyczna, takim zaś jego punktem środkowym — jakaś idea. Są chwile lub okresy, kiedy te ciała zawarte w systemacie społecznym skupiają się w większe całości, bywają znów inne, kiedy one się kruszą na bryłki, z których każda kręci się na swej maleńkiej osi około maleńkiego punkciku. Pierwszy wypadek jest właściwością narodów silnych i czasów ważnych, drugi stanowi cechę niemocy i rozkładu. Typem powstania takich grup większych był np. w literaturze romantyzm, w ekonomii— wolny handel, w religii — reformacya, w polityce — nacyonalizm itd.

Idee, nawet najwspanialsze, jak wszelkie pomysły zrodzone na gruncie potrzeb czasu, prędzej lub później przeżywają się, stają się tylko wspomnieniami historyi. Ludzie zaś pojedynczo i zbiorowo nie mogą obyć się bez tych ognisk, około których obraca się ich życie, a nie znajdując w dawnych ani dosyć światła, ani dosyć siły przyciągania, upatrują nowych.

— Warto, ażeby pan poznał Herakliusza.

— A któż to jest Herakliusz?

— Jest to młody człowiek, którego imię niewątpliwie zabrzmi wkrótce wielką sławą.

— Dlaczego?

— Niech pan z nim tylko pomówi.

Poznaję Herakliusza i rozmawiam z nim zaciekawiony. Naprzód trochę nieśmiało, następnie z wielką stanowczością i zapałem dowodzi on mi, że atomy muszą posiadać kształty, prawdopodobnie w ilości nieskończonej, że połączenia takiej lub innej ich postaci albo też kombinacye odmiennych form wytwarzają nietylko różnicę między bytem organicznym a nieorganicznym, ale także rozmaitość ich objawów; że małżeństwo jest baterya elektryczną, w której mężczyzna powinien być cynkiem, kobieta miedzią, a życie kwasem; że niedobrane stadła powstają z użycia niewłaściwych elementów; że macierzyństwo jest pozostałością barbarzyńską i kiedyś dzieci wylęgać się będą w inkubatorach; że postęp techniki zmierza głównie do zagłady zwierząt, które uszczuplają ludziom pożywienia i niedługo wytępione będą zupełnie; że poezya rymowana musi pozbyć się oznaczonej treści i zamienić na nieokreśloną muzykę słów, gdyż ujmowanie wyraźnych myśli w rymy i rytmy nie ma żadnego sensu itd.

Słucham — a zapewnie i wy czytelnicy nieraz słuchaliście — podobnych teoryj i widzę jasno, że ich rzecznik stanowi punkt środkowy małego zbiornika dusz, które koło niego wirują, a ciążą ku niemu dlatego, że nie podlegają już dawnym siłom przyciągania i poddały się nowej, zwykle działającej w bardzo krótkim promieniu, nieraz fantastycznej, niedorzecznej, błahej. Takich bowiem Herakliuszów, marzycieli i sofistów, oryginałów i waryatów, kalekich i nierozwiniętych geniuszów jest tyle na ziemi, ile widzialnych gwiazd na niebie. Można ich spotkać we wsiach, miastach, kołach towarzyskich, rodzinach, klubach, tu stanowiących rodzaj świecznika, rozlewającego swe blaski na liczną gromadę ludzi, tam znowu będących rodzajem łojowej świeczki, przy której kilka osób czyta księgę życia...

Ogromną mgławicą, z której wyłaniają się coraz nowe planety, jest literatura. Tu prawie każdy osobnik chce być środkiem nowego systematu i rzeczywiście prawie każdy nim jest. Bo trudno znaleźć tak nieudolnego autora, któryby dla jakiejś gromadki umysłów nie był ogniskiem koła duchowego. Na nieszczęście dla tych ognisk gwiazdy i góry się liczą, ale robaczki świecące i kretowiska — nie. Jedno z pism warszawskich podjęło obronę pisarzów poprzedniego pokolenia, poniewieranych przez obecne, występujące pod innym sztandarem. Głos ten jest wyrazem bardzo rozpowszechnionego mniemania, iż dziś powtarza się z przed trzydziestu laty walka „młodych" ze „starymi," którzy wówczas byli młodymi. Widocznie, że nietylko z tajemnic, ale również z faktów jawnych mogą wypływać na stawy prasy kaczki bez nóg, bez skrzydeł i bez głowy. Bo gdzież tu jest jakiekolwiek podobieństwo? Zapasy literackie w ósmym dziesiątku lat przeszłego stulecia toczyły się u nas o zasady filozoficzne i społeczne, dziś toczą się głównie o stopnie talentów literackich — a spory takie nie ustają nigdy w każdej literaturze. Od czasu „pozytywistów" wytworzyło się u nas tylko jedno liczne stronnictwo, które w piśmiennictwie odzywa się bardzo słabo i które bynajmniej nie przedstawia zastępu, bojującego ze „starymi" poprzedniego pokolenia. Po za niem istnieją tylko grupki przyjacielskie, redakcyjne, towarzyskie, stanowiące zwykle dość pstrokatą mieszaninę. Jeżeli więc w Krakowie wywieszono nad jednem z wydawnictw szyld „Młoda Polska," jeżeli ten sam tytuł położono na szwedzkim przekładzie zbiorku nowel plejady naszych młodych beletrystów, to można go rozumieć jedynie jako nazwę ostatniej seryi talentów. Jakiż bowiem inny łącznik wiąże Sieroszewskiego z Tetmajerem a Żeromskiego z Wyspiańskim? Rzeczywiście mamy kilka z zagranicy przyniesionych *izmów*: modernizm, dekadentyzm itd. Ale, pomijając ich zaledwie dostrzegalną drobność w literaturze naszej, ważniejszem jest to, że one nie mają żadnego określonego znaczenia i że Sfinks niewątpliwie strąciłby w morze wszystkich ich wyznawców za nierozwiązanie zagadek własnej ich nazwy. Stwierdzono nieraz w praktyce, a nawet usprawiedliwiono w teoryi fakt, że pewne umysły podlegają hypnotyzacyi wykrzyków, zdań niewypełnionych uchwytną treścią, frazesów gazowych i że gdyby w te puste łupiny włożyć jakieś dotykalne jądra, przestałyby one odurzać swych czcicieli. Tak jest. Ale co warta i jaką trwałość mieć może najkunsztowniejsza muzyka podobnych *izmów*, ta parada kolorowych baloników, to podrzucanie w górę i łapanie wydrążonych kul, te popisy z czarnoksięską latarnią, cały ten huk, szczęk i migotanie tajemniczych lub bezmyślnych słów? Czyż to tworzyć w literaturze i życiu nowe szkoły, stronnictwa, światy o własnych osiach, orbitach i ogniskach? Z takiego złudzenia, z wszelkich Herakliuszów i ich wielbicieli duch historyi gorzko się śmieje. Ideały sztuki, jak prawdy i wiedzy muszą być jasne, a zarówno w pierwszej, jak w drugiej mgły, błędne ogniki, szczudła, papierowe korony, drewniane berła, straszenie ludzi przyprawianemi brodami, udawanie szatanów za pomocą trzymania rozżarzonych węgli w zębach, a natchnionych wieszczów zapomocą derwiszowskiego kręcenia się na jednem miejscu — wszystkie te dziecinne lub kuglarskie pomysły nie stanowią żadnego zwrotu ani w piśmiennictwie, ani w rozwoju stosunków społecznych. W ostatnich też dziesiątkach lat nie narodziło się i nie rodzi się u nas nic, coby zapowiadało nową epokę w dziejach umysłowości naszej. Narodziły się tylko świeże, piękne talenty literackie, wylęgło się stado orłów, ale ich gniazda leżały na znanych szczytach. Że one się różnią wielkością, zabarwieniem piór, wysokością wzlotu — nikt nie zaprzeczy; ale że należą do gatunków już istniejących, to jest niewątpliwem. Wybłysły nowe, świetne gwiazdy w konstelacyach dawnych, ale nie zapaliły się nowe słońca, któreby były ogniskami osobnych wirów. Przebaczamy Herakliuszom i ich maleńkim orszakom iluzyę twórczą i reformatorską, ale na tej wyrozumiałości kończy się nasze dla nich uznanie. A jeżeli im się zdaje, że leżymy pod nogami ich tratujących nas rumaków, daremnie z wyciągniętemi rękami błagając litości, to kto nam broni lub co przeszkadza śmiać się zdrowo z Donkiszotów?

Poseł Prawdy.

BADANIA NAUKOWE.

Przestępczość w świetle badań kryminologicznych w XIX wieku.

II.

Od dawna już spostrzeżenia statystyczne budziły zastanawianie się nad prawidłowością, z jaką w jednym i tym samym kraju przez cały szereg lat powracają prawie zupełnie te same liczby, to znowu później — nad wyjątkami, czyli wahaniami statystyki karnej, którym zawsze odpowiadały wahania w statystyce cen zbożowych, spożycia alkoholu, nieprawych urodzeń itd. Jest to jeszcze zasługą pisarzy angielskich drugiej połowy XVII wieku, t. zw. „arytmetyków politycznych, jak Graunt, Petty, następnie w Niemczech Süssmilch, którzy pierwsi doszli do wykrycia „praw, rządzących na pozór przypadkowemi zjawiskami życia ludzkiego," jak stosunek między liczbą urodzeń chłopców a dziewcząt, liczbą urodzeń wogóle a śmiertelnością, liczbą obłąkanych a samobójców itp. Dalsze badania wykryły prawa, rządzące rzekomo przypadkowymi postępkami ludzkimi, na początku takimi, które stoją w bezpośrednim związku z kwestyą wymierania, jak morderstwo i samobójstwo, dzieciobójstwo i spędzanie płodu; następnie — wogóle czynami występnymi, i wreszcie — wszelkimi czynami ludzkimi o znaczeniu prawnem i etycznem. W ten sposób powstała statystyka moralna ze swoją najbogatszą i najważniejszą częścią — statystyką karną.

I oto cenne prace na tem polu belgijskiego astronoma i statystyka, Quetelet'a, tudzież niemieckiego profesora statystyki, Oettingena, którzy za pomocą nader obfitego materyału wykazali wpływ warunków ekonomicznych i społecznych na przestępczość, wraz z powyższemi zapoczątkowaniami posłużyły za fundament nowej teoryi powyższej. Przeciwko nauce Lombrosa po raz pierwszy wytoczył ją z powodzeniem uczony wiedeński, Benedikt, tak iż obecnie posiada ona już niezliczonych zwolenników, których przybywa coraz więcej. Sam Ferri, dotąd zaliczający siebie do uczniów szkoły włoskiej, robi jej ustępstwo, gdy wyznaje, że „przestępczość jest wypadkową trojakiego rodzaju czynników: antropologicznego oraz środowiska fizycznego i społecznego."

Szkoła socyologiczna, jak widzieliśmy wyżej, przy analizie faktu zbrodniczego wysuwa na pierwszy plan czynnik społeczny. Jedni podnoszą go wyłącznie jako jedyne źródło przestępstw, tak np. Tarde, który, wnioskując z powtarzania się i prawidłowego wahania cyfr statystycznych o braku wolnej woli w człowieku, uważa naśladownictwo (pojęte w znaczeniu społecznem) za podstawowe prawo przestępstw; Baer, który wystawione przez Ferri'ego trojakie czynniki sprowadza tylko do jednego — społecznego, jako od niego bądź co bądź pochodne, twierdzi, że „zbrodniarz i człowiek uczciwy zależą każdy od swego otoczenia... Ludność przestępcza w olbrzymiej większości pochodzi z uboższych, niższych warstw ludowych, śród których chorowitość i śmiertelność są daleko większe, niż śród klas zamożniejszych... Kto chce znieść przestępstwa, ten musi usunąć wady ustroju społecznego, w których korzeni się i wzrasta przestępstwo.“ Drudzy zaś, jak przedstawiciel i najgorliwszy obecnie obrońca nowej tej szkoły, profesor berliński Franz Liszt, nie lekceważąc w zupełności czynnika indywidualnego, przypisują jednak daleko większą wagę wpływowi „milieu social“ na zbrodniczość. „Przy rozważaniu socyologicznem, mówi ten uczony, nie trzeba nigdy zapominać, że „masowe zjawisko“ składa się jednak tylko z sumy zjawisk pojedyńczych, w których czynnik indywidualny, subjektywne właściwości przestępcy, odgrywają swoją rolę właściwą... Każde przestępstwo jest produktem indywidualności przestępcy z jednej strony i stosunków społecznych, otaczających, go w chwili dokonania czynu — z drugiej; produktem więc *jedynego* czynnika indywidualnego oraz *niezliczonych* czynników społecznych.“ Większą „godność“ tych ostatnich ilustruje Liszt między innemi w następujący wymowny sposób: „Wyobraźcie sobie, iż mężczyzna w wieku lat 40, kobieta lat 30, oboje wyczerpani w swej sile życiowej walką o byt, wstępują w związek małżeński. Dziecko zrodzone z tego małżeństwa, według wszelkiego ludzkiego przewidywania, przyniesie ze sobą na świat w spadku po rodzicach swoich zmniejszoną odporność do walki o byt, fizycznie i duchowo będzie stało za dziećmi rodziców zdrowych. Przypuśćcie dalej, iż rodzice przedwcześnie umierają, iż dziecko, pozostawione samemu sobie, wyrasta w zaniedbaniu umysłowem, moralnem i cielesnem, tak, że wartość jego w porównaniu z innemi dziećmy, które wychowane były starannie i wyrosły w dobrem otoczeniu, z roku na rok spadać będzie. Jeżeli wyobrazimy sobie wreszcie, że następuje czas zmniejszonej produkcyi i jednocześnie zwiększonego bezrobocia, to nie powinniśmy się dziwić, że młodzieniec ulega pierwszym pokusom przestępstwa. W tym więc przykładzie warunki społeczne działały jako czynniki przestępstwa, w sposób trojaki: po pierwsze, nietylko w chwili dokonania czynu, lecz, podrugie, także podczas całego życia od urodzenia do czynu i potrzecie, na długo przed urodzeniem przestępcy, kiedy osłabły siły życiowe jego rodziców.“

Szkoła socyologiczna jest o tyle głębsza od antropologicznej, że gdzie ta widzi już przyczynę ostateczną, tamta wykrywa dopiero skutek innych przyczyn, jeszcze dalszych. Prawda, u 60% przestępców dają się stwierdzać różne objawy zwyrodnienia, ale nie mniejszą prawdą jest i to, że ważniejsze z tych objawów, jak anomalie podniebienia, czaszki, twarzy, zwłaszcza w okolicy skroni, są poprostu skutkiem nienormalnego i niedostatecznego odżywiania w wieku niemowlęcym; a nawet jeśli przekazane były dziedzicznie, nie zmienia to zgoła postaci rzeczy; w pierwszym bowiem wypadku przyczyny gospodarczo-społeczne działały bezpośrednio na danego osobnika, w drugim zaś — pośrednio, wykoszlawiając najpierw fizycznie i duchowo jego rodziców.

W niektórych wypadkach przestępstwo uważać należy za zjawisko socyalno-patologiczne. Wiadomo, że gdy na czas dłuższy naruszoną jest równowaga ekonomiczna społeczeństwa, jak to bywa np. podczas kryzysów gospodarczych, i następują t. z. „złe czasy,“ to równolegle do tego zwiększa się ilość przestępstw, zwłaszcza przeciwko własności, i to przedewszystkiem ilość kradzieży; zmniejsza się ilość prawnie zawieranych małżeństw i prawnych urodzeń, przy jednoczesnym wzroście urodzeń nieprawych, wzrasta śmiertelność dzieci, liczba samobójstw itp. Wpływ otoczenia społecznego na przestępczość sięga jeszcze dalej i wprost zadziwia swoją subtelnością. Geograficzny podział przestępczości danego kraju zależy od ekonomicznego stanu osobnych jego części; najbardziej spotęgowaną jest (zwłaszcza przestępstwa i wykroczenia przeciwko państwu, porządkowi publicznemu, osobie i majątkowi) w ogniskach wielkiego przemysłu i proletaryzacyi ludności; to samo stosuje się do całych krajów. Co roku liczba przestępstw przeciw własności znacznie wzrasta w grudniu, styczniu i lutym, kiedy zima staje się najsurowszą, a sposobność do pracy najmniejszą i kiedy jednocześnie wzmagają się potrzeby takich rzeczy, jak pożywienie, odzież, opał. Znacznie mniejszy procent ogólnej liczby przestępstw wykazują kobiety, które, jak wiemy, dotąd daleko mniej są wciągnięte w wir karkołomnej walki o byt.

Mens sana in corpore sano. Materyalna, gospodarcza strona życia społeczeństw, jak się okazuje, jest tak samo podwaliną dla całej jego treści wewnętrznej, jak bytowanie fizyczne człowieka dla jego ducha. Gdzie wadliwym jest układ ekonomiczno-społeczny narodu, tam napróżno szukalibyśmy zdrowia moralnego. Kwestya socyalna, która jak miecz Damoklesowy zawisła nad całym światem kulturalnym, jest dość jaskrawym wyrazem anomalii jego stanu społecznego. I dlatego, czy dziwić się mamy, że np. we Francyi liczba przestępstw od r. 1841 do 1878 zwiększyła się w dwójnasób, podczas gdy ludność wzrosła tylko 7%, albo że nawet u nas w Królestwie liczba skazanych za najcięższe przestępstwa wzrosła od r. 1877—1896, tj. w ciągu 20 lat, o 74%, wogóle liczba przestępców nieletnich — o połowę, liczba recydywistów o 108%, liczba recydywistów nieletnich o 122%, podczas gdy cała ludność — tylko o 39% *).

Liche wynagrodzenie i praca wyczerpująca, rujnują jednostkę i uniemożliwiają jej rozwój; rozbicie rodziny najmickiej przez warunki obecne pracy i produkcyi, burząc wszelkie wychowanie dzieci i już niemal od kolebki zaprawiając je na automatyczny dodatek do maszyny, wykrzywia ich organizm i duszę, albo wyrzucając je z domu rodzicielskiego na ulicę wielkomiejską, samopas, bez rady i bez dłoni pomocnej, powoli sprowadza je na manowce zdziczenia; warunki mieszkaniowe, które stanowią istne źródło zgnilizny moralnej dla podrastającego pokolenia warstw niższych; bezrobocie, owa przepaść zniszczenia i śmierci głodowej, co na stałe zagościła na obszarze podaży i popytu pracy; niezdolność do zarobkowania wskutek starości, choroby, kalectwa — to żyzny grunt, na którym wyrasta tak przestraszający swoją obfitością plon zbrodni. „Zależy to tylko — mówi Liszt — od zbiegu okoliczności życiowych wogóle, czy naruszenie równowagi moralnej prowadzi do samobójstwa, do obłąkania, do ciężkich cierpień nerwowych, do chorób cielesnych, do życia koczowniczego, awanturniczego, czy też do zbrodni.“

S. Eltinger.

*) *Swod statisticzeskich dannych po dielam ugołownym.*

LITERATURA I SZTUKA.

CHIMERYCZNY POGLĄD
na stosunek społeczeństwa do sztuki.

I

W zeszycie lutowym *Chimery* p. Zenon Przesmycki zamieścił rozprawę pod tytułem „Walka ze sztuką.“ Nasuwa mi ona kilka uwag, któremi radbym podzielić się z czytelnikami. Lecz przyznaję że musiałem przywołać cały zasób odwagi, by wziąć pióro do ręki. Apostołowi chimeryczni „absolutu“ (w *Chimerze* drukuje się „Absolutu“) oświadczyli, że o tem, co wydrukuje *Chimera*, im tylko sądzić i mówić wolno. A kimże ja jestem, abym odważył się usta otworzyć? Po pierwsze, ekonomistą, a na samo wspomnienie tej nazwy twarze chimerzystów seraficznych przybierają wyraz, jakby im czosnku powąchać dano; powtóre—demokratą i „społecznikiem,“ jak wyraża się p. Zenon Przesmycki, i to społecznikiem „materyalistą,“ a tego starczy, aby seraficzni dostali drgawki, jak na widok padalca; po trzecie — seraficzni, darujcie życie, jestem dziennikarzem! Jednakże p. Zenon Przesmycki mówi o charakterze społeczeństwa współczesnego, jego pracy, narowach, poglądach, o rewolucyi, o równości, o „miastach pijawczych,“ o „przymusie demokratycznym“ co do oświaty elementarnej bez dalszego rzeczywistego wykształcenia itd., to zaś są sprawy właśnie wymagające wiedzy „społecznika.“ Dalej — o czem wiedzieć nie chce p. Przesmycki, lecz o czem wiedzą ludzie, mający podobno jakie takie pojęcie o historyi sztuki i stosunku do niej społeczeństwa, jak np. Taine i Muther — zachodzi ścisły stosunek pomiędzy bytem materyalnym społeczeństwa a sztuką, stosunek nietylko w tem trywialnem znaczeniu, że mistrze sztuki nie istnieliby, gdyby rolnik, młynarz i piekarz nie dostarczył im chleba, szewc — butów, krawiec — modnego fraka, bankier—pieniędzy, lecz i w tem jeszcze znaczeniu, że wszystkie najrzeczywistsze objawy kultury, wszystkie „ideologie,“ wszystkie przejawy wyższych czynności życia społecznego, pozostają w związku ścisłym, bezpośrednim z formami materyalnego bytu społeczeństwa, więc „materyalista,“ tj. zwolennik najgłębszej jak dotąd teoryi zjawisk społecznych, „der materialistischen Geschichtsauffassung,“ jak wyrażał się niezupełnie może fortunnie genialny twórca tej teoryi, ma, zdaje się, niejakie prawo głosu w tej kwestyi. W końcu p. Przesmycki, przezwyciężywszy wstręt, mówi o prasie, o tem; co tylko może być najgorszego w pojęciu takiego seraficznego chimerzysty.

W pierwszym ustępie artykułu chodzi p. Przesmyckiemu o wykrycie tych, którzy występują do „walki ze sztuką samą, z jej źródłami i jej najwyższą zasadą.“ Powiada on: „Udowodnienie jest tu rzeczą zbyteczną, gdyż schyłek wieku ujrzał pogromców czy to śmielszej, czy to świadomszej siebie natury, którzy, zrzucając maskę, otwarcie już i bez jakichbądź osłonek zaprzeczyli sztuce wszystkich praw do królewskiego stanu pani dusz, wyzwolicielki z ograniczoności cielesnej między indywidualnością a absolutem, uczynili ją „funkcyą społeczną,“ zostawili jej rolę rozrywki uprzyjemniającej życie lub wózka dla tendencyi jedynie, i wyraźnie stwierdzili —

gdyby na to podrzędne stanowisko wznieść się pragnęła i śmiała — swą nieprzejednaną dla niej nienawiść."

Więc któż to są ci bluźniercy? Wylicza ich nasz apostoł absolutu po imieniu: *primo* — Tolstoj, *secundo* — Prus, Szczepanowski, Jeż, Ochorowicz. To już wszyscy! Co do Tołstoja, sądy jego o sztuce pono nigdzie na całym świecie — po za tuzinem chyba bezwzględnych wyznawców — nie znalazły oddźwięku. Sąd ten pozostanie w historyi twórczej myśli przykładem, że można być mistrzem genialnym w dziedzinie sztuki, a przecież wygłaszać o istocie sztuki poglądy fetyszysty botokuda. Twórca „Anny Kareniny" i „Zmartwychwstania" („Odrodzenia") żyć będzie wiecznie w pamięci ludzkiej, autor rozprawy „Przeciw sztuce nowożytnej" pono już jest zapomniany, a raczej nigdy nie był poważnie traktowany. Co do domorosłych naszych wrogów sztuki, nie wiem ażali w poważnej rozprawie o sztuce godzi się brać pod uwagę ich harce. P. Przesmycki, gdyby nie żył w świecie chimerycznym, zapewne zdawałby sobie sprawę z tego, że absurdy, do jakich doszedł Prus w swoich rozmyślaniach o sztuce, pozostają w ścisłym związku z ciasnym programikiem społecznym, który w końcu zeszedł na to, czem może u pierwotnych twórców nie był, na *credo* drobnomieszczaństwa, owej klasy społecznej, która, ginąc w walce o byt, nie może już dziś ostać się na poziomie kulturalnym, jaki zajęło społeczeństwo, nie ma, nie może mieć żadnych już ideałów, gdyż wszystkie jej wysiłki kończą się na wózku. Cóż więc dziwnego, że jej wodzowie w sprawie sztuki doszli do absurdów. Lecz czyż w całem społeczeństwie p. Przesmycki nie widzi nic po za tą gromadką? Zdaje się, że tak jest, gdyż, jak zobaczymy dalej, faktycznie pojęcia tego kapłana absolutu o społeczeństwie są w gruncie rzeczy nawskróś przesiąkłe duchem drobnomieszczańskim. Mając duszę czujną na to, co wielkie i świetne w jednej dziedzinie, ma on bielmo na oku, gdy chodzi o sprawy społeczne; posiadając wiedzę rozległą w jednym kierunku, odznacza się fenomenalnem nieuctwem, gdy chodzi o rzeczy po za jego specyalnością. Żabka siedząca w bagnie nazywa je światem: p. Zenon Przesmycki, ugrzązłszy w pojęciach drobnomieszczańskich, w drobnomieszczaństwie widzi świat cały: prawdziwie — *Froschperspektive.*

Jednakże nasz kapłan absolutu powiada, że dopiero Prusy i Ochorowicze chcą strącić sztukę z piedestału, z tronu królewskiego, zostawiają jej rolę „rozrywki" lub wózka dla tendencyi. Czyż tak? Czy to oni dopiero? Czy pogląd taki na sztukę nie był powszechnie panującym właśnie dotąd, a teraz dopiero, na schyłku wieku nienawistnego, pojawiły się pojęcia nowe? Dostatecznem jest zajrzeć do ksiąg moralistów niemal wszystkich czasów ażeby się o tem przekonać. Taki Plato wyznacza sztuce zgoła podrzędne stanowisko i nie inaczej wielki jego współzawodnik, Arystoteles. A to byli Grecy przecież! W świecie rzymskim sztuka stała się „rozrywką" w najszerszem słowa tego znaczeniu, bo— zbytkiem; zrobiono tu z niej wózek nie dla tendencyi, lecz dla polityki; była narzędziem panowania. O mędrcach chrystyanizmu, o ojcach kościoła niema co mówić: w ich pojęciach sztuka była tem samem, co zbytek; widzieli w niej dzieło mocy piekielnych, a dopiero ich uczniowie znacznie już później uczynili z niej „wózek dla tendencyi," posłali na służbę kościoła i biada śmiałkom, którzy chcieli oswobodzić się od tej obroży, jaką im nakładał kościół! Nastał wiek Odrodzenia, który pod względem społecznym i politycznym był czasem pierwszych bojów zwycięzkich, budzącego się demokratyzmu, przeciw możnowładztwu arystokratycznemu i wtedy to mistrze sztuki po raz pierwszy poczuli się wolnymi. Najwięksi geniusze owych czasów, Michał Anioł i Dürer, byli prawdziwymi, głębokimi demokratami, buntowniczymi demokratami nawet. Teraz dopiero, acz słabo i niewyraźnie, sztuka poczuła się panią, wyzwolicielką. A potem — długi ciąg upadku, powodowany tem, że wytwarzała się nowa era panowania arystokratycznego, jakkolwiek panujący należeli do innej nieco kategoryi. I znów sztuka poszła w poniewierkę, znów stała się rozrywką, wózkiem do ładowania tendencyi, zgodną z planami owych władców, których pierwowzorem był *le roi soleil*. Tak już pozostało aż do wielkiej rewolucyi.

Pragnąłbym zamiast tych kilku uwag, służących do przypomnienia tego, co wiadomo powszechnie z historyi sztuki, pokazać czytelnikowi raczej dzieło genialnego Klingera: W cyklu jego o śmierci znajdujemy dzieło zatytułowane „Nędza": Do wozu wprzęgnięto tłum, ciężkie jarzmo leży na karkach nawet w chwili spoczynku: straszne są te wymordowane w pańszczyźnie pół-zwierzęta; nad niemi groźny, brutalny, niemniej zwierzęcy, stoi kat-poganiacz i nowy dzierzga supeł do bicza, by ostrzej smagał, gdy pogoni znów trzodę tych zwierząt jucznych o postaci ludzkiej. A cóż oni wiozą na tym wozie? Kapitel wspaniały z popiersiem imperatora, dzieło sztuki! Połowa z nich, bydląt niewolniczych, trupem paść musi, zanim ten kapitel marmurowy stanie na miejscu przeznaczenia i powstanie dzieło sztuki niewątpliwie. ale dzieło też owej sztuki, jaką znała jedynie przeszłość, do której wzdychają serafiniczni chimerzyści nasi. Powstała woń zgniłizny trupów tysiąca niewolników, którzy życie dali, by kwitnąć mógł zbytek z jego naówczas służebnicą sztuką, kiedy byli „jako ziarno pod kamieniem młyńskim kmiotkowie pod pany swymi." Woń trupów — a wy, duszyczki serafiniczne, ambrozyą i nektarem żyjące, w przeszłości tej jeno ideału szukacie? Także to już wasze dusze pozbyły się owej rdzennej szlachetności, która na krzywdę brata jest czuła przedewszystkiem. Biedne, biedne, ułamkowe duszyczki!

I tak to wam nienawiść ku demokracyi rozum zaćmiła, że widzieć nie chcecie, jak właśnie dopiero demokratyzacya społeczeństwa doprowadziła do zdobyczy nowej, świętej i świetnej prawdy: *sztuka, to nie zbytek, lecz chleb powszedni duszy, nie upiększenie życia, lecz życie samo*. Nie, prawdy tej nie znały ani czasy Borgiów, ani Ludwików; ona jest zdobyczą wieku, który dobijać się począł o urzeczywistnienie praw człowieka i żadne zrzędzenia na wiek „nienawiści do wszystkich celów wiekuistych" prawdy tej nie zmogą.

Lecz jakże to? Sztuka, to „nie rozrywka uprzyjemniająca życie," to „pani, wyzwolicielka z ograniczoności cielesnej," to życie samo, a z drugiej strony — sztuka nie dla tłumów, lecz dla wybranych — głoszą kapłani absolutu. Jakże to? Więc miliony dusz żądają chleba, a wy go wydzielacie wybranym? Konsekwentnym mógł być jakiś Aretino lub Vasari, gdy twierdził: „hołocie nic do sztuki, ona dla nas i naszych łaskawych panów," bo dla nich sztuka była zbytkiem; ale tym, którzy twierdzą, że jest ona nie zbytkiem, jeno chlebem życia, czyż przystoi odmawiać chleba milionom? Więc tylko wybranym żyć można, a tłum wiecznie być musi głodnym? „To złodziejskie serce, które ze szkodą innych chce być bogate!.. a dla siebie jednego tysiąc tysięcy ludzi, braci swojej nie gubi" (Skarga). Bo gubi brać swą ten, kto jej chleba dusz odmawia. Zaiste, tylko ten, kim rządzą instynkty własności, jakie wyhodowało w sobie mieszczaństwo, może wpadać na pomysł, aby odgrodzić dla siebie i wybranych prawo wyłączne ku największym skarbom, a bronić go masom. Bo wielki pan i maluczki radzi się dzielą tem, co mają. Wielkim panem takim, hojnie szafującym bogactwem swego ducha, był Mickiewicz, gdy chciał darzyć wszystkich, pod strzechą pragnął widzieć swoje arcydzieła, nie w ręku wybranych.

To też nie wpadali w taką sprzeczność ci, co na Zachodzie głosili i głoszą zasadę, że sztuka nie jest zbytkiem, lecz potrzebą każdego człowieka, świętością niezbędną. Ruskiny Morrisy, Crane'y, Menniery, Vanderveldy, Klingerzy, Lichtwarki, Avenariusy są o tyle „społecznikami," że sił wszystkich przykładają, by zwalić mury materyalne i zerwać opony intelektualne, które dzielą sztukę od tłumów. Dopiero u nas ponoć powstał bigos, w którym kojarzą pojęcia sztuki jako potrzeby życiowej i jednocześnie sztuki dla wybranych; dopiero u nas danem było duszyczkom kramarskim wprowadzić owe mieszczańskie, parweniuszowskie poglądy o własności w dziedzinę intelektu. Tak, biedniśmy, strasznie biedni! Zwietrzało dawno *noblesse oblige*, które jako ideał przynajmniej przyświecało społeczeństwu szlacheckiemu, a nowego ducha nie zaczerpnęliśmy jeszcze. I oto jeden mieszczański mędrek woła „precz ze sztuką, bo to zbytek," a drugi woła „nie zbytek, ale ja go chcę dla siebie i swojej kliki, dla wybranych"; jednemu strach o brzuch, a drugi głosi parweniuszowskie „to moje." A obaj kramarze.

(C. d. n.).

Dr. J. B. Marchlewski.

NOTATKI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

— *Pantheism*, par C. Amryc („Panteizm"). Autor dowodzi, że panteizm jest jedynym światopoglądem, zgodnym ze współczesnemi zdobyczami naukowemi. (*Morning Post*).

— *The Meaning of Good*, by G. Lowes Dickinson. Glasgow. („Wartość dobroci"). Popularny traktat filozoficzny, w którym w formie dyalogu przeprowadzone jest badanie nad wartością i wpływem dobra. (*Daily News*).

— *Problèmes politiques du temps présent*, par Emile Faguet de l'Academie Française. („Społeczne zagadnienia polityczne"). Jest to dalszy ciąg wydanej w przeszłym roku książki *Questions politiques*, która pozyskała szeroki rozgłos dzięki sumienności i bezstronności autora w rozbiorze rozmaitych kwestyj bieżących. (*Journal des Débats*).

— *Souvenirs d'un journaliste*, par Arsène Thévenot (L. Fremont). („Pamiętniki dziennikarza"). Autor w ciągu 40-letniej pracy dziennikarskiej zebrał sporą wiązankę ciekawych spostrzeżeń i wydarzeń z historyi oraz obyczajów współczesnego dziennikarstwa francuskiego. (*Journal des Débats*).

— *The Slaves of society*. A satire on Social Life and Usages. 6 s. Second Edition. (Harper and brothers). („Niewolnicy społeczeństwa"). Barwna satyra życia społecznego oraz obyczajów, napisana przez niewiadomego autora. (*Athaeneum*).

— *A l'aurore du siècle* („Na zaraniu nowego wieku"), par L. Buchner. Version française par le dr. L. Laloy, I vol., 4 frs. Schleicher Freres. Paris. Jest to jakby testament naukowy słynnego autora „Materyi i siły," w którym nam daje pogląd ogólny na to, co zostało dokonanem w ciągu ubiegłego wieku we wszystkich dziedzinach nauki. Z przeszłości stawiając wnioski o przyszłości, przepowiada długą i ciężką walkę, z której jednak umysł ludzki wyjdzie zwycięzko, aż dla wnuków naszych zajaśnieje nakoniec jutrzenka Sprawiedliwości i Po-[illegible]

— *Det unga Polen* („Młoda Polska"). Pod tym tytułem wydany został w Stokholmie (rok 1901, str. 214) zbiór przekładów na język szwedzki szeregu utworów nowelistycznych i obrazków powieściowych młodszego pokolenia beletrystów naszych. Na czele książki widzimy kilka utworów M. Zycha, Stefana Żeromskiego („Siłaczka," „Cokolwiek się zdarzy..."), a dalej po jednym utworze Wacława Sieroszewskiego („Czukcze"), Wł. Reymonta, A. Niemojewskiego, K. Przerwy-Tetmajera, Wandy Daleckiej i Gustawa Daniłowskiego („Chody pan"). Zbiorek ten poprzedzony został przedmową tłomaczki, p. E. Weer, zawierającą krótką charakterystykę wymienionych pisarzy.

POEZYE

POTOK GÓRSKI.

Czy noc gwiaździsta, czy dnia błękit stały,
Czy na granity lecą złote gromy —
Spieniony potok, jak tygrys łakomy,
Szaloną piersią rzuca się na skały.

I prysną czyste potoku kryształy,
W drobne się pyłu roztrącą atomy,
A mur granitów stoi nieruchomy,
Jako olbrzymów szereg skamieniały.

Tak wieki walczy duch w otchłaniach bytu,
Tak serce żądne o głaz się rozbija
I kona wiecznie na drogach przedświtu...

Daremnie skrzydła anioł burzy zwija
I błękit ciszy przegląda się w zdroju...
Pragnącym — niema ciszy i spokoju.

Kazimierz Gronkiewicz.

SPRAWY EKONOMICZNE

LISTY PETERSBURSKIE.

Obieg pieniężny i rozwój ekonomiczny.

P. K. W. Trubnikow wydał broszurę p. t. „Obieg pieniężny z wiązku z rozwojem produkcyi bogactw w Rosyi“ (Petersburg 1900). Praca ta jest owocem niektórych spostrzeżeń autora, zrobionych podczas podróży po Rosyi europejskiej, jesienią w r. 1899 w sprawie metalicznego obiegu pieniężnego w związku z pewnemi zjawiskami z dziedziny kredytu, przemysłu i handlu. Praca ta ze względu na zawarty w niej materyał i niektóre wywody autora, godna jest uwagi. Przedewszystkiem p. Trubnikow podkreśla stosunki i warunki pieniężne tudzież ich wpływ na życie ekonomiczne w całem państwie.

Bank państwa wraz ze swemi rozgałęzieniami (przeszło 100 kantorami i oddziałami), z gotowizną 310 mil. rb., jest jednem z głównych źródeł środków obrotowych kredytu, którym rozporządza skarb dla osiągnięcia wyższych celów finansowych i ekonomicznych, tudzież dla uregulowania obiegu pieniężnego i operacyi handlowych kredytu bankowego. Po przekształceniu tej instytucyi przed pięciu laty, prawie jednocześnie stworzono potężne beztermiknowe środki kredytu: 4% rentę państwową. Do końca r. 1899 wypuszczono trzy renty na sumę 2,080 mil. rb. (gotowizna wynosiła 1,503 mil. we wszelkich instytucyach kredytowych). W jesieni tegoż roku, kiedy się dawał odczuwać wielki brak pieniędzy i kiedy norma procentu pożyczkowego znacznie wzrosła, renta państwowa była niejednokrotnie środkiem pomocniczym w wypłatach i pożyczkach zamiast gotówki, podobnie jak bilety (serye) skarbu państwa, pomimo, że forma i wielka objętość biletów renty państwowej pod wielu względami ustępuje dogodności i lekkości obiegu seryi skarbu państwa. Te ostatnie w sumie około 80 mil. rb, skonwertowano już na rentę państwową i w obiegu pozostało ich (r. 1899), tylko 140 mil. rb., które w chwilach pomyślnych będą także zamienione na rentę państwową, t. j. z długu terminowego na bezterminowy. W marcu minęło sześć lat od chwili pierwszej emisyi renty państwowej. Chwila ta ma doniosłość historyczną, gdyż za pomocą tego środka ujednostajniono znaczną część rosyjskiego długu państwowego. Od tego czasu (do r. 1898) renta państwowa wzrosła z $92^1/_2$, do ceny nominalnej, a przez pewien czas kupowano ją z premium. Dzięki szerokiemu obiegowi, renta państwowa, jako ujednostajniono i ciągłe środki długu państwowego, zaczęła w ostatnich czasach odznaczać się stałością ceny: od $92^1/_2$ do 100. Tę stałość osiągnięto za pomocą nowych emisyj w stosunku do zapotrzebowania tudzież do popytu prywatnego, który stale wzrasta.

Dług państwowy, zamieniony obecnie na rentę, czyli na dług nieprzerwany, będzie się łatwiej zmniejszał w przyszłości, niż długi terminowe ze swoim specyalnym funduszem amortyzacyjnym. Rząd musiał zaciągać pożyczki jedną ręką, po to, ażeby umarzać je drugą. Tymczasem rzeczywiste umorzenie długów państwowych jest możliwe tylko przy przewyżce dochodów nad rozchodami, kiedy państwo pokrywa swoje zobowiązania pożyczkowe według kursu giełdowego.

Poprzednio panującą formą pożyczek państwowych był system obligacyj skarbowych z oznaczeniem emisyi długu, wysokości procentu i warunków amortyzacyi dawniejszej. System ten — owoc umysłu niemieckiego, był zapożyczony przez Rosyę z Niemiec. Różnił się on od formy pożyczek państwowych w Anglii i Francyi, gdzie konsole lub renta stanowią ujednostajniony dług państwowy. Pożyczki rosyjskie pod postacią obligacyj państwowych, miały cudowne znaczenie dla rynków niemieckich, które przedtem dotkliwie uzależniły Rosyę.

Bogactwo narodowe Rosyi w ostatniem dziesięcioleciu wzrastało z bezprzykładną szybkością, dzięki znacznemu podniesieniu się w krótkim czasie przemysłu przetwórczego, tudzież obrotów handlowych, które w ciągu pięciolecia 1890—1896 wzrosły z siedmiu do jedenastu miliardów rubli.

Rodzi się wszakże pytanie — mówi p. Trubnikow — czy wzrosły środki, rozszerzające potrzeby innych warstw ludności w stosunku do nagromadzenia bogactw wśród warstw handlowo - przemysłowych? Niestety, fakty dają odpowiedź przeczącą. W jaki sposób te bogactwa skupiły się w rękach warstw przemysłowych i handlowych, gdy jednocześnie nastąpiło zubożenie klas innych? Bogactwa te silnie się zwiększyły dzięki olbrzymiemu wzrostowi stworzonych wyłącznie dla handlu i przemysłu środków obrotowych kredytu, jak również temu, że całe prawodawstwo wzięło w opiekę te właśnie dziedziny. Dość powiedzieć, że w ciągu ostatnich 35 lat liczba banków hadlowych kredytu krótkoterminowego wzrosła z 27 do 385, a ich środki obrotowe pod postacią wkładów i rachunków bieżących zwiększyły się ze 150 do 1,400 milionów rb. Takie rozszerzenie kredytu na korzyść jednej klasy ludności, dało jej przeważający wpływ na wszystkie gałęzie życia ekonomicznego. Kupcy, fabrykanci, przedsiębiorcy, aferzyści, dostawcy, spekulanci giełdowi i t. d., mogli robić obroty za pomocą kredytu bankowego, który przewyższał pięć lub sześć razy ich własne kapitały.

„Jednostronne popieranie bogactw i rozwoju kapitału prowadzi w życiu ekonomicznem do ucisku słabszych przez silnych — mówi p. Trubnikow — gdy tymczasem nie kapitał, lecz praca powinna być popierana. Dla tego też obecnie bardziej, niż kiedykolwiek na pierwszym planie należy postawić naprawę warunków materyalnych mas ludności i grup społecznych. Ażeby zaś do tego dojść, trzeba koniecznie szybko i stanowczo zmienić warunki istniejącego porządku ekonomicznego. Zły stan materyalny ludności włościańskiej, dręczonej stałymi nieurodzajami i głodami; pomorem, pożarami i t. d., wszystko to właśnie tkwi w obecnych podstawach ekonomicznych. Ludność włościańska jest odgrodzona mocnym murem od innych warstw.“

Zdaniem p. Trubnikowa, należy uregulować byt, stosunki osobiste i majątkowe ludu na drodze prawodawczej. Wszakże ten lud stanowi 85% całej ludności państwa, posiada $^3/_4$ całych obszarów ziemi zdatnej do potrzeb rolnictwa, stanowi około $^4/_5$ wojska i jest wielkim wierzycielem skarbu, skutkiem operacyi wykupnej.

P. Trubnikow mocno podkreśla brak odpowiednich organizacyi kredytu łatwego i taniego, zwłaszcza dla ludności rolnej i drobnych przemysłowców. Należy zaopatrzyć rolnictwo w takie środki obrotowe, jak przemysł i handel, t. j. w stosunku miliarda obrotu rocznego (ogólna suma produkcyjności rolnej wynosi trzy miliardy).

Próby organizacyi drobnego i taniego kredytu były niepomyślne. Z 1438 towarzystw pożyczkowo - oszczędnościowych zamknięto 668, czyli 53%. Pomoc Banku państwa w zakresie kredytu drobnego polegała tylko na wydaniu wszystkim rzemieślnikom i przemysłowcom drobnym 545 tysięcy rb., przyczem na sam Petersburg z tej sumy przypadło 125 tysięcy. Kredyt drobny powinien być dostępnym dla najmniejszych wiosek.

Bardzo liche jest zaopatrzenie rolników w maszyny i narzędzia, których wartość w r. 1894 wynosiła 15 milionów, w tej sumie 5 milionów pochodzenia zagranicznego. Tymczasem Ameryka (Stany Zjednoczone) jeszcze w roku 1890 wytworzyła maszyn i narzędzi rolniczych na 81 mil. rb.

Przejdźmy do innych szczegółów, ugrupowanych przez p. Trubnikowa. Porządki biurokratyczne w gospodarce miejskiej i ziemskiej — mówi autor — wywołały w rezultacie, z małymi wyjątkami, chroniczne deficyty w budżetach, ciągły wzrost niedoborów i długów. W r. 1894, do kas ziemskich wpłynęło $44^1/_2$ mil. rb., ziemstwa zaś wydały $51^1/_2$ mil., a więc deficyt w ciągu jednego roku wynosił 7 mil. rb. Długi ziemstw w r. 1895 wynosiły $37^1/_2$ mil. rb. Ogólna suma kapitałów rosyjskich Cesarstwa i Królestwa Polskiego w r. 1894 wynosiła 45,884,840 rb. Ogólna zaś suma długów miejskich dosięgła 72,004,280 rb. Na mocy nowych przepisów z r. 1892, uzupełniwszy swoje kasy nowemi pożyczkami, budżety miejskie dawały w rezultacie minusy zamiast plusów: w r. 1893 budżety zamknięto z deficytem 997,844 rb., w r. 1894—2,555,392 rb.

W Rosyi bardzo przyjaźnie powitano myśl środków przedsięwziętych przez ministeryum skarbu, w celu skierowania na właściwe tory wykształcenia handlowo-morskiego w interesach rozwoju rosyjskiej żeglugi handlowej. Środki tego rodzaju — zaznacza p. T. — mogą uwolnić Rosyę od usług państw zagranicznych i dopuścić ją do czynnego, szerokiego udziału w handlu morskim. Dzięki temu, iż tak ważną dziedzinę zagarnęli cudzoziemcy, Rosya na opłatę tylko frachtu morskiego wydaje rocznie 70—90 milionów rubli. Skutkiem zabiegów ministra skarbu, wydatki w tej pozycyi zaczynają się zmniejszać. W stosunkowo krótkim czasie stanęło pod flagą rosyjską 49 parowców, których pojemność wynosi 49,041 ton. Stworzono kilka rosyjskich towarzystw, akcyjnych żeglugi morskiej. Bogactwa Anglii, Niemiec, Stanów Zjednoczonych, Francyi, Szwecyi, Norwegii, Danii, polegają na szerokim rozwoju handlowych flot morskich. Angielska flota handlowa jest większa od rosyjskiej 30 razy, niemiecka 5 razy, szwedzka i norweska 3 razy. Malutka Dania pod względem rozmiarów floty handlowej prawie dorównywa Rosyi. Zdaniem p. Trubnikowa, rozwojowi żeglugi handlowej w Rosyi sprzyja obecnie wprowadzenie obiegu metalicznego.

Paweł Krzyżanowski.

O prawdę *)

W drugim zeszycie *Chimery* znajduje się krytyka mego poematu „Na wyspie."

Że mój utwór nie podobał się p. Miriamowi — to mnie nie dziwi, a przykrość, jaką z tego powodu mogłaby odczuwać ambicya autora, skutecznie łagodzi pouczająca bajka o „psie i flakonie," przytoczona przez *Chimerę* jako odprawa dla tych, którzy uznali styl p. Przesmyckiego za napuszysty, pompatyczny, nienaturalny.

Niestety, w kilkunastu wierszach oceny znalazło się kilka, delikatnie mówiąc, niedokładności, które wypada sprostować.

Pomijam oryginalny wstęp, w którym p. Miriam na zasadzie jednego utworu wyrokuje o tem, jakich przeczuć *nigdy* nie miałem i zakreśla granice horyzontom mego widzenia; pomijam również narzucanie mi śmiesznego zamiaru udowodnienia za pomocą poematu jakiejś tezy, gdyż mogą to być szczere przywidzenia, spowodowane pewnym daltonizmem umysłowości p. Miriama, a wada taka, jak wszelkie kalectwo, godna jest raczej litości, niż nagany.

Zwracam natomiast uwagę na parę charakterystycznych szczegółów, podających w wątpliwość dobrą wolę chimerycznego recenzenta.

„Wolność, równość cielesna, dobrobyt fizyczny — oto wszystko!", do czego — zdaniem p. Miriama — dąży bohater mego poematu, Dajmon.

Ponieważ jestem przekonany, iż p. M. godziwie nie potrafi udowodnić, że ostatecznym celem dążeń Dajmona jest *równość cielesna* i *dobrobyt fizyczny*, że jest to istotnie *wszystko*, do czego dąży, gdyż w wielu miejscach mego poematu zaznaczam dobitnie, że ostateczne cele, aspiracye Dajmona są inne, podnioślejsze, czysto moralnej natury — zmuszony jestem tłomaczyć powyższy lapsus p. Miriama tylko jedną z alternatyw: albo p. M. (Z. Przesmycki) czytał moją pracę jeno oczyma, bez zastanowienia się nad treścią, tj. metodą, którą ten sam p. Przesmycki tak surowo potępia w artykule „Walka ze sztuką," albo rozmyślnie „znadirował," że tak powiem, ducha mego bohatera, a tem samem polot poematu.

Następnie, przypomniawszy światu, że „aby coś komuś dać, trzeba naprzód coś w sobie mieć — to znaczy, trzeba naprzód owładnąć duszę własną, wydobyć na jaw jej najgłębsze pierwiastki — i wcielić je." P. M. pisze: „Tymczasem Dajmon na definicyę króla, iż *pieśń powinna duszy być wcieleniem, odpowiada wzgardliwem: Niech o sobie pieją samoluby.*" Nie, sztukmistrzu! Odpowiedź Dajmona brzmi inaczej, mianowicie:

Wyrazem duszy — pieśń, rzekłeś prawdziwie,
Ale chybiłeś, robiąc nam zarzuty,
Czyż każdy pieśniarz ma w twoim motywie
Jedynie czerpać dla swej pieśni nuty?

Wszak śpiewak wtenczas jest tylko fałszerzem,
Gdy się z tą pieśnią, z którą zawarł śluby,
Szczerej miłości nie złączył przymierzem!
Więc niech o sobie pieją samoluby!
A kto się kocha w jutra jasnych łunach,
Ten, jak my, bejnał wydzwania na strunach!—itd.

Powyższy ustęp nie należy do mglistych i nie potrzeba ani zaglądać oko w oko nieskończoności, ani uciekać się do absolutu, by pojąć, że Dajmon *jota w jotę* zgadza się z definicyą króla, nie protestuje przeciw niej *nigdzie*, dowodzi jedynie, że jest szczerym pieśniarzem, bo wciela w pieśń przedmiot swoich najgłębszych ukochań i marzeń.

Wiersz: „Niech o sobie pieją samoluby!" jest czysto osobistym przytykiem do króla, jako przedstawiciela skarlałej, samolubnej wyspy, ceniącej nadewszystko „spokój i dostatek, miękie posłanie, dach nad głową cichy, stół zastawiony i pełne kielichy" — jednem słowem właśnie *dobrobyt fizyczny*.

Uwidoczniłem, zdaję się, dostatecznie, do jakich sztuczek ucieka się p. M., by osiągnąć rezultat potrzebny dla zdyskredytowania niemiłego mu poematu. Nieświadomy rzeczy czytelnik na podstawie podrobionej cytaty otrzymuje wrażenie, jakoby Dajmon istotnie zwalczał definicyę króla, płytkim w dodatku argumentem. Podobne figle: dowolne kombinowanie powydzieranych z tekstu wierszy w celu spreparowania bałamutnej cytaty, wykrętne koncentrowanie całości piętnowane są w „glossach" *Chimery* (artykuł: „Krytycy i recenzenci") wyrazami: „zarozumiale i bezmyślnie," „kłamstwo świadome," „oszczerstwo," „obłudna insynuacya" itp. aż do „chamstwa" włącznie. Bogactwo języka pod tym względem tak wielkie, że doprawdy jest się w kłopocie, który z powyższych terminów zastosować do metody krytycznej p. Miriama.

Wolę przeto pozostawić wybór najtrafniejszego bezstronności czytelników niniejszego sprostowania; sam zaś podkreślam ciekawy fakt, że nietylko, jak chce *Chimera*, „godny pogardy motłoch." ale, jak się okazuje, „i bogowie na sposoby biorą się."

Kazimierz, 12 maja 1901 r.

G. Daniłowski.

*) Za właściwy grunt do prowadzenia polemik uważamy jedynie ten, na którym wyrósł ich powód. Ponieważ jednak *Chimera* odmówiła zamieszczenia powyższej odpowiedzi, więc wyręczamy ją w tym obowiązku względem poważnego autora i naszego współpracownika. *Red.*

NA MARGINESIE.

Stanowisko kobiety w państwie birmańskiem opisuje w sposób zaciekawiający autor angielski, Fielding, w zajmującej książce p. t. „The soul of a people" (Dusza ludu).

Fielding długo przebywał w Birmie i poznał dobrze obyczaje jej mieszkańców. Prawo między mężczyzną a kobietą nie zna tam żadnej różnicy, wyjątek stanowią tylko kary za skaleczenie, mniejsze, gdy poszkodowaną jest kobieta. Życie jej, wyrażone w pieniądzach, mniejszą ma przeto wartość, niż życie mężczyzny. Służba żeńska taniej co prawda kosztuje, niż męska, córka mniejszą dostaje pensyę niż syn, ale jedynie dlatego, że mniej może pracować, jest słabszą fizycznie, jak utrzymuje Birmańczyk; gdyby było odwrotnie, prawo nie omieszkałoby przyznać też większej wartości kobiecie.

Kobieta birmańska zawsze była niezależną i życiem swem dowolnie rozporządzać mogła.

Wychodząc za mąż, Birmanka nie porzuca swego nazwiska, nie przyjmuje żadnej oznaki swego nowego stanu. Jej majątek do niej należy, a mąż nie ma żadnego do niego prawa, ani do tego, co żona zapracuje lub odziedziczy. Mąż i żona zachowują wzajemną niezależność majątkową, a tylko to, co wspólnie zarobili, pozostaje wspólną własnością. Jeżeli w takim razie zapytać np., kto jest właścicielem tego ogrodu?— odpowiedzą: „Maung Hau" (nazwisko męża) „Ma Szwe" (nazwisko żony). Wszelkie kontrakty, umowy, dokumenty małżonkowie podpisują oboje. A jednak choć prawo przyznaje żonie najzupełniejszą niezależność, zwyczajowo mąż jest i tu głową rodziny.

Rozwód otrzymuje się nadzwyczaj łatwo: małżonkowie stają przed zgromadzeniem starszych i przedstawiają im swoje żądanie. Spisują akt, zaświadczający o fakcie i małżeństwo jest rozwiązane. Każda strona pozostaje przy swym osobistym majątku, a wspólnie zarobionym dzielą się równo. Rozwody w Birmie trafiają się bardzo rzadko, jak twierdzi Fielding; tylko łatwość ich otrzymania wytworzyła nieznaną nam oględność i delikatność w stosunkach małżeńskich.

— W *North American Review* jakiś Yankes podaje projekt olbrzymiego syndykatu wydawniczego (News paper trust). Syndykat taki mógłby posiadać własne telegrafy, telefony, poczty, okręty, pociągi pośpieszne, własne szkoły zawodowe, biblioteki, fabryki papieru oraz inne potrzebne warsztaty i zakłady: książki i gazety mogłyby wychodzić w jednakowych odbitkach o jednym czasie w miejscowościach bardzo odległych; dokładność i szybkość wszelkich informacyj dosięgłyby idealnych stopni. „Pomyślcie tylko, jaką potęgę miałyby zasady popierane zgodnie przez wszystkie gazety! Jakiej mocy nabyłaby ludzkość w walce ze złem"! Istotnie, lecz coby poczęła ludzkość ze złem, gdyby ono zagnieździło się w samem dziennikarstwie?!.

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. Komitet budowy pomnika Tytusa Chałubińskiego w Zakopanem zdecydował ostatecznie powierzyć jego wykonanie z gipsu i dozór nad budową artyście-rzeźbiarzowi Janowi Nalborczykowi, profesorowi szkoły zawodowej w Zakopanem. Odlewy z bronzu, kolumna, podstawy kamienne itp. pozostają w rękach komitetu.

— Cudzoziemcy w Szwajcaryi doznają coraz większych ograniczeń. Obecnie władze szwajcarskie zamierzają wprowadzić prawo przymusowej naturalizacyi cudzoziemców, przebywających w kraju lat 10, lub — przymusowego wydalenia. Uzyskanie obywatelstwa szwajcarskiego kosztuje około 1000 fr., prócz tego podatki są dość znaczne, niezamożni musieliby więc opuścić Szwajcaryę.

— Uroczysty akt otwarcia nowego gmachu Sztuk pięknych w Krakowie ma się odbyć w dniu 11 b. m.

— *Siewiero-Zap. Słowo* donosi, że inspektor, mający dozór nad drukarniami i księgarniami w Wilnie, zawiadomił utrzymujących czytelnie, iż ministeryum spraw wewnętrznych zabroniło dawania do czytania dzieła Tołstoja p. t: „Drogo kosztuje," wydrukowanego bez cenzury, oraz innych opowiadań, wydanych w r. b. w Moskwie.

— Zapowiedziano na dzień 1 lipca kongres zjednoczonych amerykańskich syndykatów robotniczych. Do stowarzyszenia tego należy przeszło 2 miliony członków.

— We Florencyi w zeszłym miesiącu obchodzono uroczyście 30-tą rocznicę założenia Towarzystwa antropologicznego.

Szkoły. Ministeryum oświaty postanowiło, by osoby płci żeńskiej, pragnące uzyskać świadectwo 6 lub 7-klasowego kursu gimnazyalnego, były dopuszczane do egzaminów razem z uczennicami, bez prawa wstąpienia do gimnazyum.

— Do uniwersytetu warszawskiego w r. b. uczęszczało 1,202 studentów, z liczby tej na wydziale filologicznym było 50, na matematycznym 242, prawnym 537 i lekarskim 373. Na kursa farmaceutyczne uczęszczało 108 słuchaczów.

— Inspekcya szkół ludowych II okręgu chersońskiego rozesłała wszystkim podwładnym sobie nauczycielom i nauczycielkom okólnik tej treści: „Ogólne rozporządzenie b. dyrektora szkół ludowych gub. Chersońskiej z d. 17 grudnia 1893 r. wyjaśnia i zaleca obowiązkowo, aby takiego rodzaju kary, jak zatrzymywanie ucznia w klasie po lekcyach bez obiadu, bezwarunkowo nie były stosowane, gdyż stanowią pewną formę kary cielesnej. Okazało się tymczasem, że kara ta stosowana jest dotąd, pomimo jej szkodliwego wpływu. Pozostawieni bez dozoru i zajęcia uczniowie dopuszczają się w klasie różnych zbytków. Oprócz tego daje się, niestety, słyszeć, iż w niektórych niższych szkołach nauczyciele pozwalają sobie obrażać uczniów pod względem ich uczuć narodowych i wogóle używać wyrażeń niewłaściwych, albo też karać uczniów, rozkazując im klęczeć itp. Z uwagi na powyższe, zabrania się kategorycznie pozostawiać uczniów po lekcyach bez obiadu, pozwalać sobie na niestosowne żarty i wogóle uciekać się do jakichkolwiek kar cielesnych. Najlepszem i najpożyteczniejszem nauczaniem i wychowaniem jest dobry przykład. Takim przykładem dobrym, wzorem porządku, panowania nad sobą i ludzkiego obejścia w jak najszerszem znaczeniu tego słowa, powinien być nauczyciel i nauczycielka."

H. K. T. Na zebraniu w Grudziądzu hakatyści uchwalili domagać się wyrugowania języka polskiego ze wszystkich szkół. Powstał również wniosek, ażeby pisma polskie wychodziły jednocześnie z tekstem niemieckim, i rozprawy na zebraniach Polaków odbywały się w języku niemieckim.

Z sądu. Po siedmiodniowych rozprawach II wydział karny warszawskiego sądu okręgowego uznał 53-letniego Michała Zieńca, b. profesora uniwersytetu warszawskiego na katedrze dyagnostyki i terapii ogólnej, winnym przestępstwa z art. 9, 1525 i 5 p. 1526 kod. kar. i skazał go na mocy art. 9, 1525, 5 p. 1526, 149, 7 i 6 st. 19-go, 114, 1 st. 31, 134, 135, 3 st. 31 i 59 kod. kar. prawa z d. 10 czerwca 1900 r., 3 p. 771, 774, 776 i 909 art. proced. karnej na pozbawienie wszystkich praw i przywilejów, zesłanie

do rot aresztanckich poprawczych na półtrzecia roku, a następnie na oddanie pod dozór policyjny na 4 lata. Wyrok po uprawomocnieniu przedstawiony będzie do Najwyższego uznania. Akcyę cywilną sąd oddalił.

Prasa. Na zasadzie art 178 ustawy o cenzurze, rozporządzeniem ministeryalnem wstrzymana została na jeden miesiąc sprzedaż pojedynczych numerów dziennika *Rossija.*

Ze sztuki. Na międzynarodową wystawę sztuk pięknych w Wenecyi, która trwać będzie od 22 b. m. do 31 października, zarząd kolei włoskich ma wydawać bilety po cenie zniżonej, powrotne i z terminem 20-dniowym, od pogranicznych stacyj do miejsca wystawy.

Przemysł i handel. Ministeryum rolnictwa przedsiębierze próby dostawy masła syberyjskiego do stacyj pogranicznych Wierzbołowo, Grajewo i Mława. Próba dokonana będzie w celu dokładnego przekonania się, jak długo i w jakich warunkach mogą znajdować się w drodze wagony-lodownie, wysyłane ze stacyj kolei syberyjskich do oznaczonych punktów pogranicznych i jakim zmianom podczas drogi ulegnie masło, ile wyniesie przewóz jednego puda itp.

— Obywatel ziemski w gub. Kijowskiej i przemysłowiec Tereszczenko, ofiarował na założenie szkoły artystyczno-przemysłowej w Kijowie 200,000 rubli.

Zapis. Zmarły niedawno w Warszawie Adam Śmiglewski, cały swój majątek, wynoszący 103,750 rubli w papierach procentowych, testamentem przekazał wychowańcom Instytutu głuchoniemych i ociemniałych, wyznania katolickiego.

Wystawy. W Wiedniu urządzona będzie stała wystawa dokumentów historycznych, na wzór paryskiego muzeum historycznego.

Zmarli. Stanisław Brzozowski, literat, syn poety Karola Brzozowskiego, b. współpracownik krakowskiego *Życia.*

— Ks. S. Isakowicz, arcybiskup ormiański we Lwowie.

— Marceli Żółtowski, obywatel w Ks. Poznańskiem.

— Ludwik Dygat, w Paryżu.

— Roman Szewczykowski, starszy zgromadzenia ślusarzy, ostrogarzy, gwoździarzy, który, dzięki zdolnościom swym, energii i smakowi artystycznemu, zajmował wybitne stanowisko pośród rzemieślników warszawskich.

— Jakób Nawrocki, dyrektor spółki wydawniczej *Słowa Polskiego* we Lwowie.

— Jerzy Smith, wydawca, w Londynie. Położył wielkie zasługi dla literatury angielskiej. Jemu zawdzięczali wejście do świata literackiego, a następnie rozgłos i sławę Carlyle, Ruskin, Browning, Dickens, Tackeray. Ten ostatni był redaktorem założonego przez Smitha *Cornhill Magazine'u*, a współpracownikami jego Tennyson, G. Eliot i Trollope. Najpopularniejszy dziś dziennik angielski, *Pall Mall Gazette*, założony został przez Smitha.

OGŁOSZENIA.

Redaktor i wydawca A. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава, 26 Апрѣля 1901 г.

Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.